

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Henryk Sienkiewicz

Humoreski z teki Worszyły

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000



Henryk Sienkiewicz

NIKT NIE JEST PROROKIEM MIĘDZY SWYMI

– A! – rzekł, usłyszawszy ten tytuł, mój przyjaciel – „*Nul n'est prophète en son pa ys.*”¹ – Dlaczego nie dać francuskiego tytułu?

– Rad bym z duszy, ale to jakoś nie wypada.

– Dlaczego ma nie wypadać? – odpowiedział. – Ty, *cher*² Worszyło, zaczynasz dopiero karierę literacką; twoje nazwisko jeszcze nic nie mówi. *Pardon*³ mój drogi, ale ono nic nie mówi. Ręczę ci, że połowa z tych, co czytać będzie twoją powiastkę, czytać będzie właśnie dlatego, że dasz jej tytuł francuski.

– A ja myślę: poniekąd ma rację. Tytuł dla powieści, to też samo, co nazwisko dla człowieka. Tenże sam mój przyjaciel ma wiele dowcipu i doświadczenia – to on mnie nauczył, że

¹ (franc.) „Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju”

² *cher* – (czyt. szer; franc.) drogi.

³ *Pardon!* – (czyt. pardą; franc.) Przepraszam!

nazwisko ma tyle znaczenia dla człowieka. Ja bo przez jakiś czas wahałem się w sądzie i o tej kwestii i o wielu innych.

– Trzeba mieć punkt wyjścia. Czy ty, Worszyłło, masz punkt wyjścia?

– Co powiadasz?

– Nie pytaj nigdy w ten sposób: „Co powiadasz?” Ma to w sobie coś ze złego tonu. Zauważyłeś, że ludzie złego tonu powtarzają często wyraz: „powiada, powiada, pada”.

– Zauważyłem.

– Przepraszam, że ja ci mówię takie rzeczy, ale wprowadziłem cię do p. X., do naszego sławnego W., do hr. M., słowem, w najlepsze nasze towarzystwa, do których chciawszy wejść, trzeba się naginać koniecznie.

– Ale o co mnie pytałeś?

– Czy masz punkt wyjścia, zasady? Wczoraj widziałem, jak rozmawiając z księciem C. skrzywiłeś się jak nieszczęście i wytrząsałeś palcem ucho. To lekceważenie! – to dowodzi, że albo wcale nie masz zasad, albo co gorzej, masz je przewrotne.

Zaczerwieniłem się strasznie i wołałem wyznać, że wcale nie mam zasad.

Ale, o czytelniku! nie zrażaj się. Przyjaciel mój dał mi zasady, których dziś trzymam się ściśle i których, jeżeli nie okażę w ciągu tego opowiadania, wina to będzie raczej nieudolności pióra niż dobrych chęci.

Po czym mogę przystąpić do samego opowiadania. Pisze się wiele powieści, w których bohaterami są jacyś ludzie lub nawet sfery, o których mówiąc, każdy dobrze wychowany człowiek zawsze dodaje wyraz: „za pozwoleniem”.

Ja sam słyszałem, jak senatorowa K., przedstawiając pani L. znanego artystę W., rzekła;

– Pani pozwoli przedstawić sobie pana... *Pardon, quel est votre nom?... a! pana W... mais il a assez de talent, pour nous amuser*⁴ dodała ciszej.

Talent może zastąpić nazwisko i otworzyć podwoje zwykle dla „*canaille*”⁵ zamknięte. Trzeba się tylko umieć naginać. Nieszczęściem czy szczęściem, mój bohater nie był ani poetą, ani malarzem, ani muzykiem, ani rzeźbiarzem, ani w ogóle długowłosym kochankiem muz⁶ nie miał majątku, brakło mu stanowiska, nie był dygnitarzem, nie miał nadzwyczajnego dowcipu, był zaledwie przystojny, nie miał nic z tego o czym wyżej.

– Cóż miał?

– Dwadzieścia siedem lat.

– O, o! to niewiele.

W tym rzecz, że miał niewiele lat: był młody; ale miał jeszcze coś prócz tego: między miasteczkiem M. a Chłodnicą, własnością państwa Chłodno, miał Mżynek.

*Qu'est-ce que c'est que ça?*⁷

To także niewiele było. Domek z ogródkiem obrosłym leszczyną i z rzeczką płynącą cieni-
stym brzegiem, a prócz tego trzy, ba, nawet nie całe, włóki⁸ gruntu.

Ale to jeszcze nie koniec: miał i coś trzeciego, co, gdyby o to dbał, nadawałoby mu pewną pozycję w świecie. Nazywał się Wilk Garbowiecki.

⁴ (franc.) Przepraszam! Jak się pan nazywa?... ale on ma dość talentu, aby nas zabawić.

⁵ *canaille* – (czyt. kanaj, franc.), pospólstwo, człowiek z gminu. Wyrazu tego używano w znaczeniu pogardliwym, obelżywym.

⁶ *kochanek muz* – Muzy w greckiej mitologii – to boginie nauk i sztuk pięknych. Kochanek muz – przenośnie: artysta.

⁷ (franc.) co to jest?

⁸ *włóka* – 30 morgów = 16.8 hektara, polska miara powierzchni gruntu.

Kto zna choć trochę dawne dzieje, ten może słyszał o Garbowieckich, jako za tarnogrodzkiej bili się mężnie z Sasami⁹ Jam wprawdzie nie wiedział, czy ciż sami nosili miano Wilków, ale przyjaciel, o którym wyżej, oświecił mnie. On w heraldyce¹⁰ wielce *peritus*¹¹, utrzymywał, że bohater mój miał z piętnastu senatorów w rodzie, a przydomek Wilk dostała ta rodzina z dawnych czasów za jakiś czyn bohaterski. Wszystko to być może, lubo sam Wilk Garbowiecki, którego znałem, nic o tym nie wiedział, a nawet nie uważał sobie za żaden zaszczyt, że się nazywał Wilk Garbowiecki. Wyznaję to ze wstydem – mój bohater, nie cenił w sobie urodzenia. Czasem jednak grała w nim dobra krew; nieszczęściem on utrzymywał, że to nie była dobra krew tylko obrażona godność osobista. Raz np. bogaty fabrykant pończoch, u którego – wyznaję to znów ze wstydem – Wilk dawał lekcje, oprowadzał go po swoich apartamentach¹².

– Widzisz pan tę konsolę?¹³ – spytał.

– Widzę.

– Pan myślisz, że to co?

– Myślę, że to konsola.

– Pan myślisz, że to marmur? pan pewno myślisz, że to marmur? – to nie marmur, to alabaster¹⁴. Widziałeś pan co podobnego?

Wilk zmarszczył się na ostatnie pytanie – fabrykant prowadził go dalej.

– Widzisz pan tę kasetkę?

– Widzę tę kasetkę.

– Pan myślisz, że ten cyzel¹⁵ na niej – to co?

– Brąz.

– Pan myślisz, że to brąz? – Tu fabrykant cmoknął, chlipnął, mlasnął i dodał w cichej ekstazie¹⁶:

– Zł-o-to! Widziałeś pan co podobnego?

Wilk zmierzył go oczyma od stóp do głów. Fabrykant nie zauważył tego i na dobitkę rzekł dobrodusznie:

– Kto takie rzeczy ma, ten wygrał. A po chwili znów:

– Widzisz pan ten portret? (Tu wskazał na własny portret, wiszący między dwoma zwierciadłami w salonie.)

– Widzę – to zapewne złoty cielec?¹⁷

– Co jest cielec to cielec, a to jest mój portret. A gdzie tu rogi? Co pan mówi?

– Że ten kto cielca malował, trafił pana... a rogi są w pańskiej kasie.

– Ho! ho! Wilk wyszczerzył starszlacheckie zęby – mówiono w Warszawie.

Ale Wilk utrzymywał, że wyraz „starszlacheckie” był głupstwem i mimo moich przedstawień, że odejmuje faktowi koloryt, nie chciał cofnąć zdania.

– A niech mi nie dmie bogactwem! – *Homo sum*¹⁸ – powtarzał z pewną dumą.

⁹ *bili się... z Sasami* – za czasów konfederacji tarnogrodzkiej (1715 – 1717), zawiązanej przez szlachtę pod wodzą Stanisława Ledóchowskiego przeciw Augustowi III

¹⁰ *heraldyka* – (z łac.) nauka o herbach. Herby – dziedziczne znaki rodów szlacheckich. Pozostałość po godłach odróżniających walczących rycerzy.

¹¹ *peritus* – (łac.) biegły.

¹² *apartament* – (z franc.) duże, wytworne mieszkanie.

¹³ *konsola* – (z franc.) ozdobna podstawa pod zegar, lustro itp.

¹⁴ *alabaster* – (z grec.), cenna odmiana gipsu, minerał, w którym się rzeźbi.

¹⁵ *cyzyl, cyzel* – od cyzelować: ozdoba wyrzeźbiona.

¹⁶ *cyzyl, cyzel* – od cyzelować: ozdoba wyrzeźbiona.

¹⁷ *złoty cielec* – symbol kultu religijnego wprowadzony według legendy biblijnej przez Arona podczas pobytu Mojżesza na górze Synaj; przenośnie – kult pieniądza.

Te błędne pojęcia zaszczepiło w nim życie. Musiał pracować i łamać się z ubóstwem. Ba! gdyby tak miał porządną fortunę, pewno by mu się rozjaśniło w głowie.

Tegoż zdania był i mój przyjaciel. Zresztą Wilk był dziwak. Pytam go pewnego razu, dlaczego tak pracuje mając już grosz jakiś i co myśli robić nadal?

– Rolę orać – odrzekł krótko.

Zdziwiłem się.

– Słuchaj, Worszytło! mówił dalej. – Pomijam, że osobiste upodobanie ciągnie mnie do roli, ale mam i inne cele. Rozszerzanie zdrowych i uczciwych zasad, mimo że stu głupców z nich się śmieje, jest obowiązkiem uczciwego człowieka. W mieście – ognisko myśli; wy tu macie literatów, gazety, książki, co chcesz. Na wsi trzeba przykładów – tam książek nie czytają. Otóż jadę na wieś dlatego, żeby być takim przykładem i dlatego jeszcze, że mi się tak podoba.

Ach, czytelniku! Czułem wraz z tobą, że głupstwa mówił, ale nie śmiałem mu się sprzeciwić, a mój przyjaciel, który jest wzorem dobrego tonu, nie śmiał także, choć nieraz obaj drwiłiśmy z podobnych zasad. I teraz wyśmiewaliśmy je, ale dopiero wtedy, gdy Wilk wyszedł. On mówił tak śmiało i tak jakoś patrzył prosto w oczy, gdy mówił! Zresztą, jakkolwiek dobrze wychowany człowiek powinien być trochę blasé¹⁹, są jednak zasady nieznośne, niepraktyczne, zgubne dla naszego spokoju, z których nie można głośno się wyśmiewać choćby dlatego, żeby zbyt nie drażnić „*canaille*”.

A tak i Wilk osiadł na wsi. On zawsze miał to, co nazywają silną wolą. Skończywszy uniwersytet, w dość krótkim czasie nabierał trochę grosza do fundusiku, jaki był posiadał i kupił Mżynek. W Warszawie mieli go za wariata, ale jemu było dobrze. Umiał sobie radzić na roli, ile że zajmował się poprzednio teorią gospodarstwa i naukami przyrodniczymi. Był wesół i szczęśliwy. Widziałem wszystkie jego listy do przyjaciela, z których pierwszy zaraz jako dość charakterystyczny, przytaczam:

„Kochałem zawsze naturę, pisał Wilk. Dusza moja zachowała całą wrażliwość na jej działanie. Gdybym był poetą, opiewałbym piękności mego Mżynka, ale i nie będąc poetą, odczuwam je w całej pełni. Nie uwierzysz, jak jestem szczęśliwy. Opiszę ci moje „*Erga kai hemerai*”²⁰. Pracuję jak chłop: rankiem wychodzę sam z pługiem w pole. Latem co za pyszne poranki; w powietrzu pełno blasku, szczerą pogodą! Świeżo i rzeźwo w całej atmosferze; z łąk podnoszą się opary, a rzechotanie żab milknie powoli; teraz na ptactwo kolej uderzyć hejnał dzienny. Budzi się ziemia, budzi i wioska; tu i ówdzie skrzywnie żuraw u studni, tam woły zaryczą. Dusza się śmieje, Franku! A no, pastuch wygrywa już na ligawie²¹, a no, dziewczyna, ranna jaskółeczka, splatając warkocz zawodzi: „dana, oj dana!” Na kościółku ozwie się sygnaturka²² na jutrznię, to i ja mruczę pacierz, pokrzykując od czasu do czasu na woły. Potem już ruch, jak okiem zajrzysz; kręcą się ludzie i zabiegają wedle roli. Krótko mówiąc: szczęśliwy jestem. W południe kładę się w cieniu pod lipami i albo czytam coś, albo słucham kapeli pszczoł nad głową. Wieczorami czytam znów lub rozmyślam, com dziś zrobił, a co jutro robić należy. Samotność nie nudzi mnie. Prócz starej gospodyni i kilku parobków nie znam nikogo w okolicy. Przez jakiś czas postanowiłem być milczącym przykładem; postanowiłem pierwiej postawić Mżynek na wzorowej stopie: zaprowadzić ład, użyźnić glebę, wyciągnąć

¹⁸ *homo sum* – (łac.) jestem człowiekiem.

¹⁹ *blasé* – (czyt. blazé; franc.) zblazowany, znudzony, zmęczony wrażeniami.

²⁰ *Erga kai hemerai* – (grec.) Prace i dni; tytuł dzieła poety greckiego Hezjoda (w. VIII przed naszą erą), w którym autor przedstawia ważność i dostojeństwo pracy na roli.

²¹ *ligawa* – fujarka pasterska.

²² *sygnaturka* – (z łac.) najmniejszy dzwonek na wieży kościelnej, dający znak rozpoczęcia nabożeństwa.

największe z niej korzyści – oto mój cel tymczasowy. Zauważyłem, że zdrowe a uczciwe idee dlatego trudno przyjmują się między ludźmi, dlatego uważane są za sentencje²³, że ci, którzy je głoszą, najmniej sprawdzają je w odpowiednim postępowaniu na zewnątrz. Iluż to promotorów²⁴ głoszących piękne zasady powinno by parsknąć śmiechem spojrzawszy sobie w oczy. Historia rzymskich augurów²⁵ powtarza się z tą tylko różnicą, że nasi – to przy tym i głównie – niedołęgi. Tak jest, Franku! niedołość więcej jest niż zły wiary. Ale w praktyce skutki stąd jednakowe. Zdaje mi się, że zrozumienie tego uczyni mnie silniejszym. Nie myślę zresztą i w przyszłości prawić słodkokwaśnych kazań; wolę czyn niż dialektykę²⁶. Tymczasem uczyć moich parobków czytać. Nie uwierzysz, jak opierali się temu z początku. Gdy namowy nie pomagały, porwałem jednego i drugiego za kark i, obiecawszy kije, zmusiłem; teraz już się przekonali i są mi wdzięczni. Dotąd ze wszystkiego jestem kontent. Idzie, Franku! idzie! Muszą już dość gadać o mnie w okolicy; ciekawy jestem, jak będzie z ludźmi. Wczoraj widziałem amazonkę²⁷ przejeżdżającą wedle mojej chałupy. Ach! jednej rzeczy mi brak w chacie: kobiety. Po prostu tęsknię za Kochaniem, ku niemu rwie się cała męska strona mojej natury. Potrzebuję kochać, potrzebuję mieć żonę i dzieci.

Ściskam cię”.

Wilk Garbowiecki.

Te listy dostały mi się od owego Franka, do którego były pisane, dlatego znam tak dobrze szczegóły dotyczące Wilka. Mawiano o nim nie tylko w okolicy, ale i w Warszawie. Paniom naszym postępowanie jego wydało się oryginalnym; mój przyjaciel przebaczał mu nawet, że siedział na kawałku roli i że pracował, ale... chodzić za pługiem... *c'es affreux, c'est une honte*²⁸.

Tymczasem płynęły miesiące, a w Mzynku z dniem każdym poprawiało się coś, ulepszało. Rola dobrze zorana na najbliższe zaraz żniwa wydała wcale obfite plony. Wilk miał nawet znaczne dochody; plantacje buraków przyniosły mu nad podziw wiele. Założył przy tym jedwabnictwo, trzymał dość znaczną liczbę inwentarza. Podziwiano jego energię, a wkrótce cała okolica nie mówiła o nikim, tylko o nim. Wilk tego chciał.

Wyruszył wreszcie między ludzi. Najpierw poznał urzędników powiatu, z którymi, *nolens volens*²⁹, musiał bywać w stosunkach. Robił ciągłe głupstwa. Co mu to szkodziło, że urzędnicy po małych miasteczkach poza biurowymi godzinami nie robią nic a nic, a w czasie godzin biurowych wykałają zęby lub trzymają ręce w kieszeniach. W tym nie masz przecie nic nie-normalnego. Oto kilka scen z tych stosunków wedle własnych jego listów spisanych.

Raz u kasjera powiatowego, który miał dwie ładne córki, Wilk rzekł do jednego z urzędników:
– Panie Ludwiku, wejdźmy z sobą w spółkę handlową.

Pan Ludwik był to podpisarz sądowy, a zarazem największy w mieście elegant; chodził w kastorowym³⁰, wysokim kapeluszu, nosił binokle na nosie, a na palcu ogromny pierścionek z

²³ *sentencja* – (z łac.) krótkie, treściwe zdanie, zawierające myśl moralną. Tu w znaczeniu zasady, do której nikt się nie stosuje.

²⁴ *promotor* – (z łac.) projektodawca, głosiciel nowych prawd.

²⁵ *augurowie* – (z łac.) kapłani wróżbici w starożytnym Rzymie.

²⁶ *dialektyka* – (z grec.) tu chodzi o prowadzenie dyskusji. Pojęcie dialektyki datuje się od starożytnych, którzy w ten sposób określali sztukę dowodzenia prawdy przez ujawnianie sprzeczności w rozumowaniu przeciwnika.

²⁷ *amazonka* – (z grec.) nazwa zaczerpnięta z mitologii greckiej, tu: kobieta jadąca na koniu.

²⁸ (franc.) to okropne, to wstyd.

²⁹ *nolens volens* – (łac.) chcąc nie chcąc.

³⁰ *kastorowy* – (z łac.) pilśniowy, z filcu zrobionego z bobrowej lub małpiej sierści.

herbem; pierścionek kupił wypadkiem od Golderywy, ale herb akceptował za swój rodowy, skutkiem czego był arystokratą. Kochał się, naturalna rzecz, któż w małym miasteczku się nie kocha, i na koniec wyraz twarzy miał zawsze groźny a uroczysty, co nadawało mu wiele godności i powagi.

– Mamy wejść w jaką spółkę? – mówił pan dobrodziej.

– W handlową. Zakładam czytelnię.

– Co? co? – spytano ze wszystkich stron.

– Daję sto rubli na książki i w domu pana Ludwika je składam. Każdy, kto zapłaci 30 kopiejek miesięcznie, ma prawo czytać, ile mu się podoba, czy to obywatel, czy urzędnik. Z tych pieniędzy 20 idzie dla mnie na zwrot kapitału, 2 i pół dla pana Ludwika za mieszkanie, a 7 i pół na coraz nowe książki. Zgoda?

– To się nie uda! to się nie uda! – zawołał burmistrz, wielki pesymista, przy tym powaga w mieście.

– To moja rzecz.

– Mówię to panu z doświadczenia.

– Z jakiego doświadczenia?

– Pan jesteś młody człowiek...

– Tym lepiej dla mnie.

– A chcesz być mądrym za wszystkich. Trzeba się było starszych poradzić.

– Toż zawiadamiam panów.

– E! żyliśmy dotąd spokojnie, choć i czytelnicy nie bywało.

– A! to pan nie przeszkadzaj, kiedy pomagać nie chcesz.

Urzędnik oderwał na chwilę oczy od kart (bo grał) i, zmierzwszy Wilka od stóp do głów, rzekł:

– Nie rozumiem skąd się bierze w młodzieży dzisiejszej... Ej! pik zwyczajne?³¹

– Wist!³² – odrzekł proboszcz. – Byle jakich zaraźliwości w tych książkach nie było!

– Wychodź pan. Ja tam wolę preferans³³.

– A ja będę czytać – wołała panna kasjerówna. – Panie Wilk, jakie to książki będą? Ja lubię wzruszające. – O!

– Cóż panie Ludwiku? zgadzasz się? – spytał Wilk.

Pan Ludwik szurgnął nogami pod stołkiem, zarumienił się, poprawił krawat, chrząknął i odrzekł:

– Ambaras³⁴... ja nie mam czasu.

– Ja panom powiem! – zawołał Antoś Dziembowski, geometra. – To są warszawskie pomysły, a my pokażemy, że także mamy swoją ambicję.

– Ma się rozumieć.

Wilk nie odznaczał się w ogóle cierpliwością, ruszył ramionami i poszedł do kobiet.

Tam udało mu się lepiej. Co więcej, namówił pannę Kamilę, kasjerównę, Beatrycę³⁵ pana Ludwika, która to panna Kamila rozkazała po prostu panu Ludwikowi, żeby przyjął obowiązki bibliotekarza.

Garbowiecki wariował, jak widzicie czytelnicy, ale czytelnia stanęła koniec końcem.

³¹ *pik zwyczajne* – układ kart w grze, zwanej preferansem.

³² *wist* – (ang.) tu; termin oznaczający przystąpienie do rozgrywki w kartach.

³³ *preferans* – (z franc.) rodzaj gry w karty.

³⁴ *ambaras* – (z franc.) kłopot.

³⁵ *Beatrycze* – postać z *Boskiej Komedii* Dantego, włoskiego poety wczesnego renesansu; tu w znaczeniu idealnej kochanki.

„Wiem, pisali że stracę swoje sto rubli, mimo to rzecz przywiode do skutku”. Przywiódł i stracił. Nikt nie chciał czytać; kobiety spodziewały się lekkich książek – nie znalazły; zniechęcenie było ogólne. Szlachta wiadomość o czytelnicy przyjęła jak najgorzej. Słyszałem bardzo rozsądne dowodzenie jednego z tamtejszych obywateli: „Dajcie im (mówił o małomiasteczkowych urzędnikach) naukę, dajcie im wykształcenie, a ręczę, że zechcą stanąć na równi z nami, zechcą bywać u nas, zechcą być przyjmowani, będą się uważać za równych nam. Przez Bóg żywy! Zastanówcie się do czego to prowadzi! Nie przewracajcie im w głowach! Gdzież społeczeństwo bez klas niższych i wyższych? Pamiętajcie, że zbytnia nauka niweluje różnice między klasami. Ja ostrzegam was – idziecie do zamętu! Ja mówiłem! ja umyłam ręce! ja robiłem co mogłem” itd.

Nie przytaczałbym tego dowodzenia, gdyby nie to, że człowiek, który tak mówił, jest znakomitością w swoim powieście.

Miał rację. Ileż to niepotrzebnych rzeczy te niewinne głowy dowiedzieć by się mogły z książek. Prawdziwie wolę nawet kostere³⁶, gracza, pijaka niż człowieka z przewróconą głową. Niepotrzebnie także nauczał ich Wilk, że przyjmowanie śniadań od obywateli jest rzeczą naganną. Naprzód miło jest i obywatelowi pokazać się czasem popularnym, a po wtóre do tego nie zmusza się nikogo, to jest przyjęte. Wilk narobił prawdziwego zgorznięcia. „Panowie nie udawajcie głuchych, gdy kto do was przychodzi z interesem – rzekł im – nie nos dla tabakiera, ale tabakiera dla nosa”.

Ostatnie słowa proboszcz i podsędek wzięli za przymówkę do siebie, bo obaj zażywali tabakę. Pytałem pewnego razu jednego z urzędników, co by o nim, to jest o Wilku, myśleli:

– Bo ja wiem, panie (powiada). Ni to był chłop, ni ksiądz, ni szlachcic, ni urzędnik – ot! ja nawet myślałem czy to nie przebrany?

– Kto?

– Ba, właśnie tego nie mogłem się domyśleć.

Z chłopami bywał Wilk stosunkowo lepiej. Pozyskał przywiązanie swych parobków, których później miał sześcioro. „Ja, pisał, nie romansuję ze swoimi ludźmi; każdy z nich musi pełnić swoją powinność, czy chce, czy nie chce. Nie uwierzysz, jak mnie gniewa sentymentalno-ckliwa literatura przeznaczona dla ludu. Sprowadziłem kilka takich książek z Warszawy. W jednej, na przykład, znalazłem wielce tkliwe opowiadanie, jak *beatus*³⁷ Kukufin miał mowę do ludu, i...

„każąc bardzo rzewnie

Wzniósł się nad ziemię na dwa łokcie pewnie”,

czym i „pocziwych kmiotków” tak rozrzewnił, że wszyscy, którzy byli złodziejami, przestali kraść, a pijacy wypędzili arendarza³⁸. Morał kończy się tym, że daleko lepiej być dobrym niż złym, bo dobrego „dziedzic” kocha, a złego nie kocha. Książki te rzuciłem w piec. Rady dawane panom tyleż warte: „Uściśnijcie czasem, powiada jeden z autorów, spracowane dłonie sędziwych kmiotków; dzielcie ich zabawy; niechaj panienka ze dworu sunie się czasem w tan posuwisty z różnym parobczakiem, niech panicz poda delikatną rękę wiejskiej dziewoi, niechaj poprosi jej o piosenkę... itd.” Ja tam nie suwam się z nimi w tan posuwisty, nie umizgam się do dziewoi, ani upijam się z nimi w karczmie. Wolę od czasu do czasu powiedzieć: »Bartek! czas by pomyśleć o pszenicy! Ignac! przyprowadź swego wołu – puszczę mu krew. Franciszkowa, uprzątnijcie len, bo się wysypie« itd. Książki powinni pisać znający potrzeby tych, dla których piszą, a nie – to lepiej wróble strzelać. Dotychczas jestem kontent z moich ludzi, a z innymi żyję dobrze” itd.

³⁶ *Kostera* – namiętny gracz w kostki, szuler.

³⁷ *beatus* – (łac.) błogosławiony.

³⁸ *arendarz* – (z łac.) dzierżawca karczmy.

Nie zawsze jednak bywało dobrze. Mżynek, własność Wilka, sąsiedował z Chłodnicą, własnością państwa Chłodno, ludzi niezmiernie dystyngowanych³⁹, *de la plus haute société*⁴⁰, z którymi zapoznał mnie mój przyjaciel. Otóż ludzie chłodniccy robili nocami, jak to zwykle między sąsiedztwem, szkody Wilkowi w zbożu i pastewnikach. Wilk w takich razach był nieubłagany surowy. Nie dość, że zebrawszy swoich ludzi przepędził chłodnickich, przy czym i po skórze niejednemu podobno dobrze się dostało, ale pozajmował im bydło i na koniec wytoczył sprawę przed wójta: „Nie chodziło mi (pisał) o szkody, ale chciałem oduczyć od szkód”. Wypadły stąd rozmaite zatargi. Charakterystyczną odpowiedź dał jeden z obwinionych, kiedy na pytanie, dlaczego wypasał zboże pana Garbowieckiego, odrzekł:

– Taki to on i pan, kiedy sam za plugiem chodzi; takiego nie grzech poszkodować.

Mój przyjaciel uważał tę odpowiedź za znakomitą: „*C'est magnifique! magnifique!*”⁴¹ – powtarzał. Dowodzi to jednak (mówił), że i w ludzkiej prostocie jest pewne... pewne... *comment cela s'appelle-t-il?*...⁴² pewne poczucie tej myśli, którą Francuzi wyrażają: „*noblesse oblige*”⁴³ Z powodu tej sprawy wszedł Wilk w bliższe stosunki z państwem Chłodno i bywał tam następnie dość często.

– Prawdziwie – mówił do mnie pan Chłodno – kiedy wszedł pierwszy raz, patrzyliśmy na niego, prawdziwie jak na wilka... *nous l'avons regardé tout-à-fait comme un vrai loup*⁴⁴.

W ich domu jednak rozegrała się najważniejsza część jego historii, dlatego stosunki te będę opisywał szczegółowo. Dom państwa Chłodnowów składał się z samego, z samej i dwóch córek: panny Lucy i Boguni, małej jeszcze, może trzynastoletniej dziewczynki. Oczywiście, w domu tak zamożnym była jeszcze nauczycielka Francuzka (Polek tam nie trzymano). Nauczycielka zwała się *mademoiselle*⁴⁵ Gilbert, co zresztą dla nas jest wszystko jedno.

Kiedy Wilk wszedł do salonu państwa Chłodno, *madame*⁴⁶ Chłodno trzy razy kierowała nań binokle; chciała wiedzieć, co by to był za człowiek. Szczęściem, wiadano o jego urodzeniu. Wilk przy tym miał rysy szlachetne, obejście łatwe, dlatego dość podobał się od razu. Panna Lucy spojrzała nań ciekawie, mała Bogunia, dziecko nieśmiałe i smętne, wytrzeszczyła nań chmurne oczy. Pan Chłodno przedstawił go w ten sposób:

– *Ma chère*⁴⁷, to jest pan Wilk Garbowiecki, którego podobno byłaś ciekawa.

Po czym zakręcił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Dama, która już wprzód była go obejrzała, nie spojrzawszy nań teraz odrzekła:

– Słyszałam, że on sąsiaduje z nami?

– Tak jest, gospodaruję w Mżynku.

– Dlaczegoż dotąd nie mieliśmy szczęścia widzieć go?

– Miałem pilniejsze zajęcia w domu.

Ta odpowiedź zarówno niegrzeczna jak zuchwała wywarła jednak niespodziewany skutek. Dama podniosła oczy od robótki i zmierzyła Wilka od stóp do głów. Odpowiedź podobała jej się. Istotnie, żeby tak odpowiedzieć, trzeba było albo być impertynentem, albo mieć jakie

³⁹ *dystyngowany* – (z łac.) odznaczający się wytwornością form towarzyskich.

⁴⁰ (franc.) z najwyższej klasy społecznej.

⁴¹ (franc.) to wspaniałe! wspaniałe!

⁴² (franc.) jak to się nazywa?

⁴³ *noblesse oblige* – (czyt. nobles obliż; franc.) szlachetność obowiązuje.

⁴⁴ (franc.) patrzyliśmy na niego jak na prawdziwego wilka.

⁴⁵ *mademoiselle* – (czyt. madmuazel; franc.) panna.

⁴⁶ *madame* – (czyt. madam; franc.) pani.

⁴⁷ *Ma chère* – (czyt. ma szer; franc.) Moja droga.

prawo obrażania się o zbyt chłodne przyjęcie. Dama przypomniała sobie, że jej interlokutor⁴⁸ zwie się Wilk Garbowiecki, skutkiem czego rzekła bez porównania słodziej:

– Tak, zresztą my niedawno przyjechaliśmy z Warszawy.

– Teraz latem panie bawiły w mieście?

– *Oh, oui*⁴⁹, dla edukacji córek moich.

Tu panna Lucy postąpiła krok naprzód, mała Bogunia postąpiła krok w tył.

– Pan zna Warszawę? – spytała znów pani Chłodno.

– Od trzech lat dopiero bawię na wsi.

– My bo tam mamy kuzynów... Hrabiego W... Pan go zna?

– Znam.

– Jak to go pan zna?

– Bywałem u niego na wtorkach.

– U hrabiego W.? Jest to jeden z najbogatszych naszych magnatów.

– Podobno.

– I bywał pan u niego na wtorkach?

– Razem z innymi.

– *A c'est très bien, c'est très bien*⁵⁰, że pan bywał u niego na wtorkach. Jakże jego migreny⁵¹?

– Nie wiem.

– On bo pisuje do nas często. Skarżył się na migreny, ale w ostatnim liście donosił, że mu już lepiej.

– Bardzo się cieszę.

W tej chwili wszedł pan Chłodno.

– *Imaginez!*⁵² – zawołała pani. – M. Wilk Garbowiecki *connaît notre cousin, le comte W...*⁵³, a co więcej, bywał u niego na wtorkach.

Pan Chłodno uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Poczciwy, poczciwy ten nasz kuzyn hr. W...! Czyś pan nie uważał, jaki on podobny do lorda...

– Nie uważałem.

– Doskonały, doskonały! Powiadam mu kiedyś w resursie⁵⁴: Hrabio! wyglądasz jak Palmerston⁵⁵. „*You are block-head*⁵⁶, mój drogi. Ty jesteś kiep, powiada mi. Jak on to przednio wymawia: ... *You are block-head!*”

Wilk uśmiechnął się.

– Pan rozumiesz po angielsku? – spytała skwapliwie pani Chłodno.

– Znam ten język.

– I mówisz pan nim?

– Tak.

– Ach! to taki niezbędny język teraz – wtrąciła panna Lucy.

– Dlaczego teraz? – spytał Wilk.

⁴⁸ *interlokutor* – (z łac.) rozmówca, osoba, z którą się rozmawia.

⁴⁹ *Oh, oui* – (czyt. oh, uj; franc.) O tak.

⁵⁰ (franc.) To bardzo dobrze, to bardzo dobrze.

⁵¹ *migrena* – silny ból głowy połączony z mdłościami.

⁵² *Imaginez!* – (czyt. imażiné; franc.) Wyobraź sobie!

⁵³ (franc.) zna naszego kuzyna, hrabiego W...

⁵⁴ *resursa* – (z franc.) stowarzyszenie, klub towarzyski; tu w znaczeniu lokalu tegoż klubu.

⁵⁵ Henry Palmerston (1784–1865) lord, dyplomata angielski.

⁵⁶ *You are block-head* – (czyt. ju ar blok-hed; ang.) Jesteś kiep, jesteś głupcem.

– Niezmiernie, niezmiernie modny. We wszystkich wyższych domach panienki uczą się po angielsku.

– W jakim celu?

– Taka moda.

– Czyżby nie lepiej poznać niemiecki?

– Gdyby była moda...

– *Fi donc!*⁵⁷ panie Wilk. Kto dobrze wychowany mówi po niemiecku? Sami Niemcy lepiej wychowani nie używają tego języka.

– A literatura niemiecka?

– *Les romans allemands sont insupportables!*⁵⁸

– Może. Ale nauka, ale poezja?

– Rzeczy poważne to nie dla nas kobiet, a poezja?

– Tylko w głowach przewraca – przerwał pan Chłodno. – Ja to powiadam; tylko w głowach przewraca. Ja sam w młodości miałem przewróconą głowę. Marszałek Onowrócki powiada raz do mnie...

W tej chwili weszła mamsel⁵⁹ Gilbert. Była to młoda panna z twarzą poważną i sympatyczną. Wejście jej byłoby bez znaczenia, gdyby nie to, że od tej chwili rozmowa zawrzała po francusku, przy czym Wilk zyskał w oczach pań niezmiernie wiele.

– To zdumiewające! – mówiła po jego odejściu pani Chłodno. – Ten człowiek mówi wybornym akcentem!

– Ja mamie powiem, że nawet grassejuje⁶⁰. Jak mamę kocham, grassejuje!

– Luca ma rację. *Parole d'honneur*⁶¹ grassejuje... ehr... ehr... Tak, tak!

Wilk w ogóle podobał się państwu Chłodno, a lubo polecono Lucy, żeby postępowała z nim „z całą ostrożnością”, jednakże przyjmowano go i nadal dość uprzejmie. Pani miała w tym swój cel; chodziło jej o angielski, który Wilk posiadał istotnie bardzo dobrze, a którym rada by była widzieć mówiące równie dobrze swoje córki. Proponowano mu następnie, by uczył panny po angielsku, na co po niejakiem wahaniu zgodził się: „Daję u Chłodnow lekcje, pisał do swego przyjaciela; przyjąłem je dlatego, by mieć wpływ na młodsze pokolenie. Ci ludzie gniewają mnie i śmieszą zarazem. Głupota ich jak miłosierdzie boże jest bez granic. A jednak ciągnie mnie coś do nich! Ty zbuczysz mnie, dzielny chłopaku, gdy wyznam ci, że owo coś jest panna Lucy. Wiem; wiem, przewiduję twoje przestrogi, masz rację. Ale wpływ męskiego serca na kobietę może być także potężny. Ona zepsuta jest wychowaniem; zresztą, nie kocham jej jeszcze, a jeśli mnie przyciąga, to dlatego, że ma trochę zalotności i dlatego, że ja sam czuję niepokonaną potrzebę kochać nareszcie kogokolwiek. Przyznaję, że kiedy parę dni temu, schyliwszy się nad książką, dotknęła lokami mojej skroni, przeszedł mnie płomień od stóp do głów. Pamiętaj, że mam dwadzieścia siedem lat. Miłość rozbita na cały ogół nie wystarcza człowiekowi. W najgorszym razie, nie stanę się przecie niedołągą” itd.

Wilk, jak widzimy, wpływał na morze pełne pokus; miał się spotkać z tą siłą, wobec której najdzielniejszy męski opór nie zdał się na nic. Niebezpieczniejsza jeszcze ta siła dla takich, którzy uczucia nie wydają po groszu.

⁵⁷ *Fi donc!* – (czyt. fi dą; franc.) brzydko, nieładnie.

⁵⁸ (franc.) Powieści niemieckie są okropne.

⁵⁹ *mamsel* – forma spolszczona od *mademoiselle* – (franc.) panna.

⁶⁰ grassejować – (z franc.) wymawiać gardłowo dźwięk „r” jak większość rodowitych Francuzów.

⁶¹ *Parole d'honneur* – (czyt. parol doner; franc.) Słowo honoru.

Przyznać bo i należy, że Wilk trafił na silną pokusę. Lucy nie uchodziła za piękną, ale było w niej coś idealnego; miała ciemne wyraziste oczy, przepyszne loki i ten jakiś urok, który najszlachetniej można by nazwać ponętą niewieścią. Ostatniej zimy robiła w Warszawie furorę⁶².

Niebezpieczny to był tedy stosunek. Pewnego razu Wilk przyszedłszy do Chłodnow zastał gości. Byli to dwaj bracia Hoszyńscy, którym powszechnie zarzucają, że nadto dmą z urodzenia i majątku – choć ojciec ich, jak mówią złe języki, był handlarzem wołów. Ale to dawne czasy. Oto jak Wilk opisywał tę wizytę.

„Poznałem dziś dwóch Hoszyńskich – Władysława i Jana, Władysława musisz znać – chodziliśmy razem do szkół. Z tym wszystkim nie poznał mnie. Zdaje mi się, że przysiada się do Lucy. Obaj zimni, elegancy, modni, przy czym dość ograniczeni”.

Wilk uprzedzał się – a bogdaj, czy nie dlatego, że Władzio istotnie czas jakiś był zajęty panną Lucy – obaj, zresztą, byli ludzie przyzwoici.

Tegoż wieczora Wilk miał zrobić jeszcze jedną znajomość. Wkrótce za Hoszyńskimi przyjechał pan Strączek, nieodstępny ich towarzysz: „*attaché*”⁶³, jak mawiał mój przyjaciel. Hoszyńscy drwili z niego ustawicznie, bo kłamał jak najęty i bawił ich, za co często zasiadał u ich stołu. Był to człowiek lat pięćdziesięciu, niski, okrągły, czerwony, z błonką na jednym oku. Lubił dobrze zjeść, stracił majątek, grywał w karty, dopuszczał się nawet podobno malwersacji⁶⁴ przy grze, zwłaszcza wtedy, gdy był pijany, co zdarzało się mu dość często. Zarzucano mu bezczelność, ale przyjmowano go wszędzie, bo był dobrze urodzony i, jak wspominałem, bawił.

– Ho! o Wilku mowa, a Wilk tuż – zawołał. – Cała okolica mówi o panu. W młodości znałem Garbowieckich, dalibóg znałem – zamożni ludzie. Kto pana rodzi? Znałem Garbowieckich – ona była Jazłowiecka.

– To moja matka.

– Patrzajcie!! nigdy bym się tego nie domyślił. Jazłowieccy byli spokrewnieni z Radziwiłłami.

Władzio Hoszyński, którego specjalnością było, kto kogo rodzi, ozwał się oburzony.

– Ale mylisz się, drogi Strączek. –Ale pozwól...

– Ale mylisz się – powtarzam.

– Może. Czy prawda, panie Wilk, że uczysz swoich chłopów po łacinie? – po łacinie?... ha! ha!

Wilkowi zbierało się na ostrą odpowiedź, szczęściem pani Chłodno pośpieszyła z interwencją⁶⁵.

–Pan Garbowiecki uczy po angielsku – i to nie chłopów, ale moje córki. To wcale co innego – niech pan Strączek o tym nie zapomina.

– Pardon! nie moja wina. Pułkownikowa z Przystanku mówiła mi, że po łacinie! Ale, czy wiecie państwo, co miała za wypadek?

– Strączek! radzę być ostrożnym – wtrącił drugi Hoszyński.

– Nic złego, nic złego! to po ludziach chodzi; zresztą milczę. Pan masz humor melancholiczny, panie Wilk, dlaczego pan nic nie mówisz?

– Wobec pańskiej elokwencji⁶⁶, nie masz dla mnie miejsca.

Spojrzeli sobie w oczy – Strączek zrejterował⁶⁷.

⁶² *robić furorę* – mieć nadzwyczajne powodzenie.

⁶³ *attaché* – (czyt. ataszé; franc.) dyplomata należący do składu poselstwa.

⁶⁴ *malwersacja* – (z łac.) oszustwo, sprzeniewierzenie.

⁶⁵ *interwencja* – (z łac.) wmieszanie się w cudzą sprawę.

⁶⁶ *elokwencja* – (z łac.) łatwość wysłowienia się.

⁶⁷ *zrejterować* – (z franc.) uciec, wycofać się.

Rozmowa urwała się na chwilę. Zagaiła ją na nowo pani Chłodno.

– Panowie niedawno z miasta? cóż tam nowego w naszej Warszawie?

Hoszyńscy poczęli opowiadać jeden przez drugiego nowinki warszawskie. Pani Chłodno rozpytywała o mody, czego i panna Lucy słuchała z ciekawością. Obie panie dowiedziały się, że suknie w kliny zarzucono już w Warszawie, że pani N. u pp. L. oburzyła na siebie opinię publiczną, bo jadła „*beaucoup de pain*”⁶⁸ przy kolacji, czego, jak wiadomo, przyzwoite osoby nigdy nie robią. Dalej mówiono, jak ten „*charmant mauvais sujet le prince Michel*”⁶⁹ przyszedł pijany na wieczór, co by komu innemu nie uszło, a jemu uszło; nareszcie, jak sam opowiadał to Hoszyński, wzięwszy mnie (mówił Władzio)...

– Nie Władziu! nie ciebie, ale mnie pod rękę.

Na szczęście, Wilk ze swych warszawskich czasów nadto był przyzwyczajony do podobnych rozmów, inaczej przy swoim charakterze byłby popełnił jaką niedorzeczność.

Ale był przyzwyczajony, bo *chez nous*⁷⁰ w salonach o niczym innym się nie mówi. Hoszyńskim trzeba przyznać, że tego rodzaju rozmowę umieli podtrzymywać z wdziękiem i lekkością.

Obaj udawali, że Wilka nie widzą; – nazywa się to ignorancją. Jest to straszliwa broń, właściwa ludziom wyższego stanu – patrzeć na osoby jak na rzeczy. Wierzcie mi czytelnicy, kto posiada tę sztukę posuniętą do najwyższego stopnia, staje się niezwyciężonym. Największy głupiec *parmi nous*⁷¹ potrafi przywieść do rozpaczliwego gniewu najmędrszego spomiędzy ludzi innego obozu. Hoszyńscy potrafili skorzystać z tej przewagi, jaką nadawała im nad Wilkiem pozycja. Kiedy Wilk ozwał się z czymkolwiek, obaj popatrzywszy nań tak, jak się patrzy na guzik od surduta sąsiada i nie odpowiadając, zwracali się gdzie indziej. Między nimi a Wilkiem od razu powstała niechęć, a lubo począł i on traktować ich jak nieletnich, przewaga jednak o tyle pozostała na ich stronie, że Wilk lubo mógł im przeciwstawić swe urodzenie nie uczynił tego, jego zasady nie pozwalały na to. Zresztą, okazywał mniej od nich cierpliwości. Hoszyńscy mieli nadzwyczaj wiele zimnej krwi. W Warszawie zwano ich z tego powodu dyplomatami. Wysocy, bladzi, ubrani zawsze najstaranniej, istotnie, wyglądali na sekretarzy poselstw zagranicznych, jeśli nie na ambasadorów. Władysław był lepiej ułożony od Jana: „Władzio ma swój szyk”, mówiono o nim w rodzinie. Szczególniej między Władziem a Wilkiem powstała niechęć, której przyczyna była zresztą prosta – odgadli się.

– Ten głupiec widocznie stara się o Lucy – pomyślał Wilk.

– Dziwię się, że temu koloniście pozwalają rozmawiać z Lucy – pomyślał Władzio.

– A ona się widocznie do niego wdzięczy – zauważył Wilk.

– A ona się do niego uśmiecha – szepnął sobie Władzio.

A obaj mieli rację, bo ona uśmiechała się i do jednego, i do drugiego, jak przystało na dobrze wychowaną pannę. Że Władzio stara się o nią, o tym wiedziała dobrze, że Wilk czuje coś do niej, tego domyślała się również dobrze, nie umiała tylko zdać sobie sprawy, co by to było ono coś. Po herbacie, gdy panowie zostali sami na cygara, Wilk, wierny swym celom wystąpił niepotrzebnie z jakimiś projektami gospodarsko-administracyjnymi. Szło o budowę jakiejś drogi do stacji kolei. Wilk ofiarował na pierwszy początek fundusz, jaki był już zebrał, mówił także o swej czytelnicy i o książkach, jakie zawierała.

– Utrzymuję stanowczo (mówił), że czytelnicy po prowincjach, przy odrobinie dobrych chęci, mogłyby wyrugować ciemnotę, gry w karty, plotki – a przy tym, zwłaszcza gospodarskie,

⁶⁸ (franc.) dużo chleba.

⁶⁹ (franc.) uroczy nicpoń księżę Michał.

⁷⁰ *chez nous* – (czyt. sze nu; franc.) u nas.

⁷¹ *parmi nous* – (czyt. parmi nu; franc.) między nami.

wiele nauczyć. Oto dlaczego sprowadziłem i gospodarskie. Są to rzeczy, które każdy rozumie – proszę więc panów o współudział w zaczętej pracy.

Strączek udawał, że płacze.

– Apostole, aposto! – wołał, bez ciebie nasza okolica byłaby pustynią. Jakże tam jedwabniki – siedzą na jajach?

Wilk nie odpowiadał.

– Jakże pan, panie Chłodno? – spytał – pan najstarszy spomiędzy nas?

Pan Chłodno pokazał na twarzy nieco ambarasu; rad by powiedział Wilkowi, żeby poszedł sobie do diabła, ale bał się żony, której chodziło o angielszczyznę.

– Kiedym był młody, również robiłem podobne projekta, Pamiętam, hrabia W... *m'a dit une fois...*⁷²

– E! nie chodzi tu o hrabiego W. – przerwał niecierpliwie Wilk.

– Ale chodzi o to, *il me semble*⁷³ – rzekł patrząc na sufit Władzio, aby inicjatywa podobnych projektów wychodziła od kogoś poważnego, od kogoś, komu by można zaufać. *Mais un homme qui a un nom et de la fortune*⁷⁴ nie robiłby podobnych projektów. Na budowę drogi np. potrzeba by kapitałów – pytanie, w czyje ręce złożyć te kapitały. Zresztą *ce sont de rêves*⁷⁵. Każdy z nas, większych właścicieli, ma dość kłopotów.

– Och! ile, ile! – westchnął Strączek.

– Wiesz co, Strączek, chyba i ty w końcu zajmiesz się ulepszeniami... ale w czym?

Jan Hoszyński uśmiechnął się.

– Strączek! wyrabiaj kotlety ze starych żerdzi! Cóż, *monsieur Wilk, n'est-ce pas possible?*⁷⁶

– Zarówno jak i przemiana osłów na ludzi – odparł poważnie zapytany.

Hoszyński, mimo zimnej krwi, zapłonął; szczęściem, Strączek poderwał.

– Apostole, czyżbyś i taką fabrykę miał zakładać?

– Nie mam dość kapitałów. Musiałby to być zakład olbrzymi. Żegnam pana, panie Chłodno!

– Jakim sposobem wszedł do waszego domu taki intruz? – spytał po odejściu Wilka Władzio pana Chłodno. – Ja kazałbym go lokajowi za drzwi wyrzucić.

– I ja, *mais que voulez-vous?*⁷⁷ żona moja przyjmuje go dla angielszczyzny. Zresztą, to niebezpieczny człowiek, gotów w gazetach opisać.

– Ja mu kiedy urządzę sztuczkę – zapewniał Strączek. – Warto by. Bez najmniejszego wychowania – dodał Jaś Hoszyński.

– Ale gdzie tam – odrzekł pan Chłodno. – Człowiek gładki, tylko go nie zaczepiać. Wystawcie sobie, w Warszawie bywał w najpierwszych domach.

– Co? co? – zawołano chórem.

– *Je vous assure*⁷⁸. Kiedym był ostatnim razem w Warszawie, pytam hrabiego W., czy istotnie bywał u niego na wtorkach. „Bywał (powiada) – to dobra głowa. Co chcecie (powiada): dobra głowa”.

– Czy to prawda jednak, żeby matka jego była Jazłowiecka? – spytał Władzio.

– W każdej rodzinie może się znaleźć jaka taka plama – westchnął Jaś.

⁷² (franc.) powiedział mi raz.

⁷³ (franc.) zdaje mi się.

⁷⁴ (franc.) Ale człowiek, który ma nazwisko i pieniądze.

⁷⁵ (franc.) to są marzenia.

⁷⁶ (franc.) czy to nie jest możliwe.

⁷⁷ (franc.) ale cóż pan chce.

⁷⁸ (franc.) zapewniam pana.

– Zresztą –mówił dalej – Garbowieccy stracili majątek... a bez majątku sama krew nie uratuje.

– Czego dowodem Strączek – zauważył dowcipnie Władzio.

– No, no!

– Przyznaj, mój drogi, *que vous êtes un coquin*⁷⁹.

– Dla twojej przyjaźni tylko.

Wilk miał jednak zapłatę za gorycze tego wieczora. Gdy wszedł do salonu pożegnać się z paniami, w salonie nie zastał panny Lucy; zastał ją za to w przedpokoju – kto wie, czy nie umyślnie czekała tam na niego. Na odchodnym wyciągnęła doń rękę.

– Znudził się pan z Hoszyńskimi?

– Tak.

Ręka panny Lucy zadrgała lekko w dłoni Wilka, oczy jej stały się jakieś ciepłe.

– Pan zupełnie inny człowiek – szepnęła jeszcze ciszej.

Proste słowa, a jednak Wilk rad by był za nie upaść przed nią na kolana. Wkrótce potem pisany list Wilka brzmiał, jak następuje:

„Trudno dłużej kłamać przed własnym sercem. Kocham to dziecko całą siłą nie zmarnowanego uczucia. Gdyby chciała podzielić moją chatę, nie uważałbym na nic – to tylko od niej zależy. Z jaką radością wyrwałbym ją ze zgniłej atmosfery chłodnickiego dworu! Dziecię to czyste jeszcze: serce uczciwe, dusza archanielska, umysł jasny. Ona sama czuje próżnię, jaka ją otacza, ona sama rada by się wyrwać do życia, pracy i obowiązku. Ach! drzę na myśl, że może nadejdzie godzina, kiedy będę ją miał tu, w chacie, przy moim sercu tę moją ptaszynę ukochaną. Zawrzała mi dusza zdwojoną energią, gorycz znikła, jasno mi i światło w piersiach; nigdy tak nie pracowałem. Wiosna! wiosna na dworze! wieje wiatr ciepły – od świtu do wieczornej zorzy jestem w polu i nie czuję zmęczenia. O Franku! samym poczuciem miłości jestem szczęśliwy”.

I były to istotnie jaśniejsze godziny jego żywota, bo zresztą szczęścia mało miał w życiu. Co prawda, sam sobie winien. Tracił np. na czytelni, a skupował coraz to nowe książki. Sam nawet napisał niewielki traktat o pszczelnictwie; znawcy chwalą ten traktat. W Mżynku stała pasieka przeszło ze stu ulów złożona; a za przykładem Mżynka poczęły się fundować w ule i inne okoliczne wioski. Jaki taki, to z chłopów, to ze szlachty zjeżdżał czasami obejrzyć wzorowe gospodarstwo w Mżynku – Wilk wykladał im swoje teorie, objaśniał, namawiał. Jedni wierzyli, drudzy nie, ale żywy przykład wiele może. Poczęto oswajać się z nim w okolicy, poczęto przyjmować go w licznych domach szlacheckich. Wilk lepiej nawet był z jednowioskową szlachtą niż z półpankami, jak nazywał Chłodnow i całą ich koterię⁸⁰.

„Gdyby nie obskurantyzm⁸¹, który kwitnie w tej klasie ludzi (pisał), można by tu więcej zrobić. Na nieszczęście są nieukami; wolę ich jednak niż półpanków, mniej zczudoziemczeni, zdrowsi itd.”

Następne jednak jego listy mówią już o nich coraz gorzej.

Uciekają (pisał), jak przed widmem, przed każdą czy to własną, czy obcą myślą, która mogłaby zamącić im błogi kwietyzm⁸² ducha. Oburzano się na mnie, że sprowadziłem kilka książek „nie religijnych”. Miły Boże! są to książki naukowe, które z niereligijnością nie mają nic wspólnego. Gdybyż oni sami przynajmniej, ci, którzy tak mówią, którzy posądzają mnie o

⁷⁹ (franc.) że jesteś łotrem.

⁸⁰ *koteria* – (z fr.) klika, grupa osób związana wspólnymi, samolubnymi interesami.

⁸¹ *obskurantyzm* – (z łac.) skłonność do podtrzymywania nieuctwa.

⁸² *kwietyzm* – (z łac.) bezczynność, obojętność dla ludzkich spraw.

„wolnomularstwo”⁸³, stałe mieli swoje zasady. Przysięgam ci, że wyznają je tylko przez lenistwo lub dlatego, że się boją żon. Dowodem – zachowanie się ich na nabożeństwach, na które zresztą regularnie uczęszczają. Jest tu w kościele kaplica przy wielkim ołtarzu – panie siedzą przed ołtarzem – panowie, by się nie mieszać z chłopami, w kaplicy. Co się tam w czasie mszy dzieje, nie uwierzysz. Pogadanka głośno kwitnie, czasem wybuchnie kto śmiechem, aż się po kościele rozlega, opowiadają się *sui generis*⁸⁴ – anegdotki. Co chwila usłyszysz wykrzykniki: „Niech mnie kule biją”, „Poganin jestem, nie katolik!” Przeszłej niedzieli któryś z nich ciągle powtarzał: „Furda, mości dobrodzieju!” Innym razem ktoś z zapalonych myśliwych polował sobie w najlepsze w kaplicy zaklinając się, że jeśli nieprawdę mówi, niech go tyle a tyle, przy czym udawał strzały i szczekanie psów. Cóż, Franku? to budujące! A jednak ciż sami nazywają mnie „masonem”⁸⁵, ciż sami powtarzają przy każdej okoliczności, że człowiek bez religii gorszy psa”.

Widzimy że nawet miłość do Lucy nie nauczyła Wilka patrzeć weselej na ludzi. A tymczasem miłość ta wzrastała szybko i ogarniała go całego. Wylamawszy się raz spod form przyjętych powszechnie przez ludzi dobrego tonu, szedł we wszystkim za głosem swej bujnej natury. Stosunki łączące dwoje ludzi stawały się coraz niebezpieczniejsze. Pani Chłodno, licząc na rozsądek i dobre wychowanie Lucy, nie bywała przy lekcjach, a tymczasem zbliżenie się dwojga młodych pobudziło zażyłość, zażyłość przeszła w przyjaźń, a na koniec przyjaźń ze strony Wilka, w głębokie przywiązanie.

Zresztą, Wilk w innych razach, przyznać należy, dość silny – w stosunkach z Lucy był o wiele słabszym. W częstych sam na sam (bo słabowita Bogunia nie zawsze mogła być obecną) Wilk miękł jak wosk. Przy tym Lucy drażniła jego miłość własną.

– *Dites-moi*⁸⁶ – rzekła pewnego razu w przystępie egzaltacji – *dites-moi*, skąd pan bierze tyle siły do walki przeciw wszystkim i wszystkiemu?

Wilk spojrzał na nią: głos jej drżał, dziewczęca pierś wznosiła się i opadała szybko, w oczach świeciła niby jakaś nieokreślona chęć, jakieś niewyraźne żądanie i gorączkowy niepokój.

– Skąd tyle siły? – powtórzyła jeszcze.

– Z poczucia obowiązku, pani.

– Ach! ja uwielbiam w panu tę siłę... ja jej zazdroszczę! Pan jednak musi pogardzać ludźmi?

– Nigdy nie pogardzałem nimi.

– Nie! nie! Pan musisz pogardzać nimi... pan ich nienawidzisz... *mais* (tu postać p. Lucy nachyliła się, a ręka jej spoczęła na rękę Wilka)... *mais vous n'êtes pas mon ennemi? vous ne me méprisez pas?*⁸⁷

Wilkowi pociemniało w oczach; schylił głowę i sam nie wiedział, kiedy wpił się ustami w tę małą rączkę, spoczywającą na jego dłoni.

W drugim pokoju dały się słyszeć kroki pani Chłodno.

– *I love, you love, he loves*⁸⁸ – zaczęła szybko odmieniać Lucy.

– Lucy! przyjechali panowie Hoszyńscy – rzekła mama.

– *We love, you love, they love...*⁸⁹

⁸³ *wolnomularstwo* – masoneria, międzynarodowe tajne stowarzyszenie (w. XVIII i XIX). Masoneria propagowała hasła wolnomysłcielskie, postępowe i często występowała przeciw oficjalnej reakcyjnej polityce państwa. W skład masonerii wchodziło ludzi różnych klas społecznych.

⁸⁴ *sui generis* – (łac.) swego rodzaju.

⁸⁵ *mason* – członek organizacji wolnomularskiej.

⁸⁶ *Dites-moi* – (czyt. dit mua; franc.) Niech mi pan powie.

⁸⁷ (franc.) ale pan nie jest moim nieprzyjacielem? Pan mną nie pogardza?

⁸⁸ (ang.) Ja kocham, ty kochasz, on kocha.

– *Mon Dieu! comme elle fait d'énormes progrès*⁹⁰ – ucieszyła się pani Chłodno. Tymczasem Wilk otrząsnął się z wrażenia. Trzeba było iść do salonu. W salonie siedzieli Hoszyńscy. Strączek ujrawszy Wilka zawołał:

– Hej! apostoł i proroku! gotowe tam pioruny? odbierają ci chleb – gotuj pioruny!

Wilk milczał pogardliwie; nadto był dziś szczęśliwy, żeby odpowiadać na bezczelne dowcipy Strączka.

– Ach! – zawołał ten ostatni ze źle ukrywanym pod maską dowcipu gniewem. Z wysokości, na której stoisz, apostoł, nie raczysz odpowiadać tak nędznym robakom, jak ja! Dobrze więc: dowiedz się, że możesz odesłać do Warszawy swoje książki.

– Panie Strączek, gdybyśmy byli w męskim towarzystwie, inaczej bym panu odpowiedział.

– Ho! ho!

– Istotnie, panie Strączek, wesołość powinna mieć pewną miarę – zauważyła pani Chłodno.

– Strączek! – zawołali obaj Hoszyńscy.

Strączek połknął gładko napomnienie i zaczął się tłumaczyć:

– *Pardonnez moi madame!*⁹¹ ja tylko mówię, że pan Wilk może odesłać do Warszawy swoje książki, chyba że chce zakładać księgarnię w N.

– Dlaczego?

– Niech paniom Władzio powie.

Władzio uśmiechnął się zimno i tak zaczął:

– Każdy z nas obywateli pojmuję potrzebę czytania, chodzi tylko o to, żeby nikt nie narzucał się nam gwałtem na przewodnika. Obywatelstwo może obejść się bez opieki nieznanemu mu osobistości. Otóż ja, powodowany tą myślą, zrobiłem projekt, na który większość obywateli się zgodziła i... (tu Władzio obrócił się do pani Chłodno)... *monsieur votre mari aussi*⁹².

Panna Lucy skrzywiła z lekka usteczka; Hoszyński bystro uchwycił wzrokiem jej grymasik, uśmiechnął się i mówił dalej:

– Co miesiąc za kilkanaście rubli kupujemy książki w Warszawie, które rozsyłają się kolejno po domach należących do składki, a następnie dzielą się i pozostają jako własność.

Tu Władzio spojrzawszy jowiszowymi⁹³ oczyma na Wilka. Istotnie, postąpił sobie niezmiernie zręcznie, bo Wilkowi, jeśli nie chciał okazać, że powoduje nim tylko miłość własna, nie pozostawało, jak przyklasnąć nowemu projektowi.

Był to dla niego cios, bądź co bądź bardzo bolesny, tak przynajmniej zdawało się Hoszyńskim. Strączek był uszczęśliwiony. Pani Chłodno ustroiła słodko-kwaśną fizjonomię⁹⁴. Panna Lucy rzekła na odchodnym Wilkowi:

– Musi to panu być przykro, bardzo przykro.

– Nie. Gdyby nie moja czytelnia, czyżby stała się czytelnia Hoszyńskich?

– To prawda.

– Byle wybór książek był dobry i pożyteczny.

Ale Wilk sam się zwodził. Był to cios dla niego, jak mówiłem, bardzo bolesny. W każdej sprawie, bardziej ogólnej natury, biegnie i krzyżuje się mnóstwo nici spraw osobistych. Nikt nie potrafi tak dalece wyjść z siebie, żeby czynów swych nie zabarwiał szczyptą miłości własnej. Gdyby kto inny, nie Hoszyński, stanął na czele przedsięwzięcia, mniej by to dotknęło

⁸⁹ (ang.) My kochamy, wy kochacie, oni kochają.

⁹⁰ (franc.) Mój Boże! jakie ona robi nadzwyczajne postępy.

⁹¹ (franc.) Niech mi pani wybaczy.

⁹² (franc.) mąż pani także.

⁹³ *jowiszowy* – groźny, majestatyczny; rzymski Jowisz (grecki Zeus) – władca bogów.

⁹⁴ *fizjonomia, fizjognomia* – (z grec.) wyraz twarzy, rysy, wygląd.

Wilka, ale między nim a Hoszyńskim panowała skryta nienawiść. Wilk w czynie ostatniego widział tylko chęć dokuczenia mu. Zresztą, lubo wybór książek Hoszyńskiego pochwaliliby każdy dobrze wychowany człowiek, Wilk piorunował nań w listach do przyjaciela.

„Dotychczas nie sprowadzono ani jednej polskiej książki, pisał. Czytają romanse francuskie, bez grosza sensu, sprawy kryminalne i najrozmaitsze baliwerny⁹⁵. Takie czytanie szkodę tylko przynieść może. Byłem naiwny, wzywając ich do pomocy. Moje książki czytam ja tylko i dwie lub trzy córki urzędników, które w braku czego lepszego, kochają się we mnie i dlatego ziewają nad moimi książkami” itd. Jakoż kłopoty Wilka rosły z dnia na dzień. W chmurnym jego a pracowitym życiu weselszą stroną stanowiły tylko lekcje u Chłodnow. Lucy robiła zaskakujące postępy, uczyła się z taką gorliwością, że często na twarz jej występowały gorączkowe rumieńce.

– Lucy! Lucy! – przestrzegła mama – nadto żywo bierzesz się do rzeczy.

Była w tych słowach głęboka prawda.

Prawdziwych stosunków między dwojgiem młodych ludzi domyślał się tylko Władzio Hoszyński. Nie chodziło i jemu, jak potem mówił, o Lucy, ale także o obrażoną miłość własną. Zagał i on, wśród księgi wspomnień, dla Wilka tę kartę, „co o krew woła” – jak mówi poeta, a po naszymu, jeśli nie o krew, to przynajmniej o należytą satysfakcję. Nie sądził jednak rzeczą dość bezpieczną uciekać się do jakichś niedyplomatycznych kroków z Wilkiem. Samo nazwisko rywala budziło w nim wstręt niewypowiedziany. Strączek, który miał pewne filologiczne⁹⁶ zdolności, rzekł mu raz:

– Czy wiesz, Władziu, co znaczy nazwisko Wilk Garbowiecki?

– Co?

– Wilk, to znaczy wilk, a Garbowiecki, to od garbować. Przodkowie jego pewnie musieli skóry garbować.

– Głupiś, Strączek! – odrzekł Władzio.

Czy wyrażenie „garbować skóry” zrozumiał w innym sensie niż chciał Strączek – trudno wiedzieć.

Nie używał tedy kroków niedyplomatycznych, ale używał dyplomatycznych: „Człowiek powinien być dyplomata, co do mnie, mam to we krwi” – powtarzał.

I poradził sobie w ten sposób, że swe niepokoje wyłuszczył panu Chłodno, a pan Chłodno zainterpelować⁹⁷ małżonkę.

– Dlaczego nie każesz panie Gilbert siedzieć przy tych lekcjach – spytał.

– Ach! jak ci panowie krótko rzeczy widzą... Pannie Gilbert?... Dziękuję, żeby jeszcze jakie romanse rozpoczęły się w moim domu! Ty, naturalna rzecz, nie rozumiesz tego, bo ty w ogóle mało rozumiesz.

– *Ma chčre*, już zaczynasz...

– Ach! nauczycielki! Naturalna rzecz, że ty nie rozumiesz tego, jakie to romansowe. Romans pod moim dachem... O, o, o!

– A choćby się też i pobrali z Wilkiem?

– To by mi nie szkodziło, ale ludzie tego tonu przed pobraniem uważają za obowiązek kochać się wzajemnie – stąd zły przykład dla Lucy... Ona taka jeszcze naiwna!...

– Hoszyński krzywi się trochę o te lekcje.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze! dostarcz funduszków, to pojedę do Warszawy i tam Lucy będzie brała od metrów...⁹⁸

⁹⁵ *baliwerna* – (z franc.) głupstwo, niedorzeczność.

⁹⁶ *filologiczny* – (z grec.) od filologia, tj. nauka o języku i literaturze.

⁹⁷ *zainterpelować* – (z łac.) wezwać do odpowiedzi.

⁹⁸ *metr* – (z franc.) nauczyciel.

Pan Chłodno na wzmiankę o funduszach miał się ku drzwiom.
– Zresztą – mówiła dalej pani – na Hoszyńskiego będzie zawsze dość czasu. Dziś mam inne plany dla Lucy.

– O co idzie?

– To się pokaże. Dostarcz tylko funduszków, żeby Lucy było za co ubrać...

Pan Chłodno trzymał za klamkę.

– Tymczasem sama bywaj na tych lekcjach – rzekł.

– Alboż nie bywam, o ile migreny pozwalają mi na to? Ale ja nie zawsze mam dość sił, jam czasem ledwo żywa... Ty umiesz radzić... a jak chodzi o fundusze...

Pana Chłodno nie było już w pokoju.

Jednakże od tego czasu bywała częściej na lekcjach pani Chłodno, co widocznie gniewało mocno pannę Lucy. Przy matce okazywała się dla Wilka nadzwyczaj zimną, a nawet traktowała go z pewną dumą. Cieszyło się tym macierzyńskie serce widząc nieodrodną krew swoją, ale Wilk gryzł się i posepniał coraz bardziej.

Kłopoty spadały nań ze wszystkich stron; czytelnia nie szła, mogło ją teraz utrzymać samo miasto, ale i z miastem stosunki bywały nie najlepsze. Wilk zadrasnął ambicję i tego świata. Na szczęście wstydzono się go tam i bano po trochu, jednakże niechęć rosła. Wróciwszy pewnego razu od Chłodnow, Wilk zastał u siebie pana Ludwika.

– A! pan Ludwik! – zawołał. – No, cóż tam słyhać?

– Panie dobrodzieju, nie podobna dłużej wytrzymać.

– Z czym?

– Z księgarnią. Niech się co chce dzieje, ja dłużej nie mogę panu pomagać.

– Dlaczego? Co to znaczy?

– A to pokoju nie dadzą!

– Kto?

– Od bibliotekarzy wymyślają – wołał żałośnie, pan Ludwik – od uczonych wymyślają!

– Śmieję się z nich, panie Ludwiku.

– To oni się ze mnie śmieją.

– Na głupców możesz nie uważać.

– Strać głowę, komu wierzyć. Oni mówią, że to ja głupi.

– A tobie, panie Ludwiku, jak się zdaje?

– I między szlachtą straciłem reputację!⁹⁹

– To nade wszystko!

– Ucieszyłem się dowiedziawszy, że i panowie Hoszyńscy zakładają czytelnię, bo myślę: musi to być coś dobrego, kiedy i tacy ludzie się do tego biorą. A tu pan Strączek złapał mnie przed kościołem i wobec całego świata nawymyślał: „Ty, Ludwisiu, (powiada) głupi byłeś i będziesz. Ty (powiada) w to się nie wdawaj. I Wilk (powiada) wyleci z tej okolicy i ty wylecisz, a nie, to ci nikt uczciwy ręki nie poda”.

– Słuchaj, panie Ludwiku – odparł Wilk – Strączek to jest łotr, a Hoszyńscy sprowadzają francuskie książki, żeby ludzi truć. Jacy to ludzie? – powiadasz – to mi dopiero ludzie! grosza złamanego nie warci. A ja dam sobie rady i ze Strączkiem, i z nimi, a jak będzie potrzeba, to choć i przez kij przesadzę.

– Panie dobrodzieju, Hoszyńscy obywatele... kamerdynera¹⁰⁰ mają...

– Bogdaj takich nie bywało. Ty zaś, panie Ludwiku, rób sobie co chcesz, pamiętaj tylko, że ja coś mogę u panny Kamili. Jeśli na ciebie spojrzę, jak się wyrzekniesz czytelnia, to ja nie jestem Wilk. Rób sobie, co chcesz, ale to moje ostatnie słowa.

⁹⁹ *reputacja* – (z łac.) dobra sława.

¹⁰⁰ *kamerdyner* – (z niem.) służący, lokaj.

Po czym długo jeszcze Wilk mówił o zasługach, jakie będzie miał pan Ludwik, podejmując się i nadal czytelnik. Wreszcie pokazał mu artykuł jednego z pism warszawskich, które chwaliło pomysł i wspominało, że książki złożone są u pana L., przyjaciela oświaty i urzędnika w N.

To ostatecznie pokonało poczciwca. Z pewną nawet dumą zabrał gazetę do miasta, żeby na najbliższym wieczorze pokazać ją pani Kamili.

Jakoż u państwa kasjerostwa, gdzie zwykle grano i bawiono się wybornie, pan Ludwik wstąpiwszy na urządzoną na ten cel z krzeseł trybunę odczytywał artykuł gazety o czytelniku. Na chwilę zapanował entuzjazm ogromny; gazetę wydzierano sobie i przepisywano na wiele rąk, a Wilk i pan Ludwik tak ogromnie urosli w oczach towarzystwa, że postanowiono, by odtąd, mówiąc o nich, dodawać zawsze: nasz, tj. mówić: nasz pan Ludwik z naszym Garbowieckim, albo: nasz Garbowiecki z naszym panem Ludwikiem. Na czytelnię Ho-szyńskich oburzenie było powszechne z tego powodu, że nie dopuszczano do niej urzędników. Pan Ludwik, choć, jak mówił, pochodził ze szlachty, wyrzekł się jej jednak za arystokrację i za zdzieranie nosów; zdjął nawet z palca herbowy pierścionek i schował go do kieszeni. „Dobrze im tak, mówił w przewidywaniu, jak ten fakt zasmuci szlachtę, sami tego chcieli, niech się nad porządnymi ludźmi nie wynoszą”.

Gwarno więc było i rzeczy składały się dla Wilka i jego czytelnika jak najlepiej... nagle z ust sekwestratora¹⁰¹ czytającego dalej gazetę wyrwał się niespodziewany krzyk oburzenia.

– Co tam nowego? coś tam znalazł? – zawołano chórem. Szlachetna twarz sekwestratora płonęła gniewem; przez chwilę mowa była mu nawet odjęta, wreszcie uderzył pięścią w stół.

– Zdrajca! oszczerca! Judasz Iskariota!¹⁰² – krzyczał z pełnej piersi aż szyby zatrzęsły się w oknach.

– Kto oszczerca? Kto Judasz Iskariota?

– Wilk! Wilk! Wilk! Czytajcie! Czytajcie! Rzucono się skwapliwie do gazety. Pan Ludwik począł czytać.

Artykuł brzmiał, jak następuje:

– „W numerze dzisiejszym gazety podaliśmy wiadomość o czytelni założonej w N.; oto co nam piszą jeszcze w tym przedmiocie z tamtych okolic:

„Chęć do czytania rozpowszechnia się u nas niezmiernie powoli. Miejscowe towarzystwo przekłada do dziś dnia karty, butelki, plotki, – słowem, cokolwiek bądź, byle nie książki. Mężczyźni całe dni przesiadają w miejscowych knajpach, damy zaś (poruszenie niespokojne między damami) wolą spędzać czas przed lustrami na ratowaniu podejrzanych wdzięków z pomocą również podejrzanych kosmetyków (fałsz! fałsz nikczemny!!), lub obmawiając się wzajemnie. Dla pań najmiłym zajęciem jest siedzieć całymi dniami w oknach (ach!) i przypatrywać się wypomadowanym kawalerom (fe! fe!), rzucającym czułe spojrzenia na pudrowane twarze (niemoralność!). Zaledwie kilka wyjątków woli poważniejszą rozrywkę niż podobne zabijanie czasu, zarówno lekkomyślne jak naganne” (krzyki, zamieszanie, hałas).

Jeżeli masz, o czytelniku! pojęcie, co się obecnie dzieje w izbach francuskich, zaledwie zdołasz wyobrazić sobie, co się działo na wieczorze u państwa kasjerostwa. Uchwalono *unanimitate*¹⁰³ zemstę: postanowiono spalić czytelnię lub wyrzucić ją na ulicę. Panowie: Ludwik, Antoś *etc. etc.*¹⁰⁴ słowem wszyscy czujący obrazę honoru jak i niegodziwość postępków Wilka, uchwalili przelać krew jego „z pomocą oręża lub broni palnej”.

¹⁰¹ *sekwestrator* – (z łac.) urzędnik administracyjny, ściągający należność za zaległe podatki.

¹⁰² *Judasz Iskariota* – według Ewangelii apostoł, który zdradził Chrystusa.

¹⁰³ *unanimitate* – (łac.) jednomyślnie.

¹⁰⁴ *etc. – et caetera* (czyt. et cetera; łac.) – i tak dalej.

Wilk jednak nie tylko nie uląkł się pogroźek, które też istotnie nie przysły do skutku, ale napisał i drugi artykuł o okolicznym obywatelstwie. Artykuł ten odczytywano na licznym zebraniu u hrabiego Sztumnickiego, który miał zwyczaj przyjmować szlachtę z nogami założonymi na stół. Tu mniej było krzyku, bo hrabia chory na mleczone pacierzowy nie znośił hałasu – i tu jednak postanowiono pozbyć się Wilka za jaką bądź cenę. Delegowanym od szlachty był Strączek, który obiecywał spłatać Wilkowi („dość już panowie cierpliwości!”) takiego figla, że „albo się wyprowadzi z tej okolicy, albo... panowie! no! no!”

Zawisły tedy chmury nad naszym bohaterem, a on tymczasem orał sobie spokojnie rolę w Mżynku, uczył parobków i panny Chłodno, kochając się za jedną drogą w Lucy. Miło jest, kiedy się człowiek kocha, podłożyć sobie ręce pod głowę i ległszy w wygodnym fotelu, pomarzyć o przedmiocie miłości – Wilk tego nie umiał. Pola na Mżynku pozieleniały z wiosną bujnie, jabłoń strzeliła kwiatem, drogi i dróżki zmieniły się w aleje, sadzone płonkami owocu i morwy, powznosiły się nowe budynki, rozkwitło wszystko ładem i dostatkiem. Radowało się dzielne serce Wilka, a ruchliwy jego umysł tworzył coraz to nowe plany. Plany te były dwojakie: tyjące się ogółu – i osoby Wilka. W pierwszych mieściły się nowe przedsięwzięcia, ulepszenia, czytelnie, o drugich pisał Wilk do przyjaciela w ten sposób:

„Powinienem, a nie śmiem dotychczas, powiedzieć Lucy, że ją kocham, choć prawie pewien jestem jej wzajemności. Po otrzymaniu formalnego z jej strony wyznania, natychmiast wystąpię jawnie, bo boli i wstydzi mnie już ta tajemnica, w jakiej trwają stosunki nasze. Bądź co bądź, dzieci tylko lub nikczemnicy działają z ukrycia, ale w warunkach, w jakich żyję, nie mogło być z początku inaczej. Wystawiam, ile będę miał przejść z państwem Chłodno i z Hoszyńskimi, jeśli jednak Lucy się zgodzi, nie cofnie to na krok moich zamiarów. Powiadam: wszystko zależy od Lucy i dlatego... mam dobrą nadzieję. Przed sobą widzę dziś ołtarz, a dalej – chatę, dziś cichą, zaludnioną jej szczebiotem, a jeszcze dalej – pracę i znój, działanie na szerszym polu, dzielną czynność na zewnątrz, spokój na wewnątrz... postęp! Boże, daj mi sił!

Lekcje angielskiego szły z całą punktualnością. O ile się przy tym udało, Wilk wykladał pannie Lucy swoje teorie o życiu i jego obowiązkach. Jednego dnia, kiedy mama Chłodno miała migrenę, a Wilk mówił żywiej niż zwykle, Lucy spytała go dość zniechęca:

– Mama mówi, że ja jestem egzaltowana¹⁰⁵. *Dites-moi...* Ach! prawda – pan nie lubi, kiedy mówię po francusku, a zatem: *Dites-moi, est-ce que c'est vrai, que je suis tellement exaltée?*¹⁰⁶

– O ile egzaltacją zwie się miłość do wszystkiego, co dobre – to prawda.

– Pan musi być... *mon Dieu!*...¹⁰⁷ bardzo dobry?

Wilk zaczerwienił się z lekka, a serce zabiło mu tak żywo, że aż odzienie poruszało się na piersi.

– Dlaczego pani to mówi? – spytał stłumionym głosem.

Loki Lucy znalazły się tak blisko twarzy Wilka, że zapach jej warkoczy dochodził do jego powonienia. Powoli, bardzo powoli podniosła nań oczy i rzekła:

– Mówię to, bo... Jak to miłość jest po angielsku, panie Wilk? Jak pan to słowo dziwnie jakoś wymawia?...

Suknia muślinowa Lucy również dziwnym trafem obwinęła jego nogi.

– O, ja jestem egzaltowana!... nieprawdaż?

– Co pani jest dzisiaj?! – spytał drżącym głosem Wilk.

¹⁰⁵ egzaltowany – (z łac.) łatwo unoszący się, przesadnie uczuciowy.

¹⁰⁶ (franc.) Niech mi pan powie... Niech mi pan powie, czy to prawda, że jestem aż tak egzaltowana?

¹⁰⁷ *mon Dieu!* – (czyt. mą Die; franc.) mój Boże!

– Co mi jest?... nie wiem... Tak mi jakoś słabo!... – mówiła, szepcząc... – Czy pan kiedy kochał kogo, panie Wilk?... tak mi słabo... Boże, co się ze mną dzieje?!

Głowa jej spadła nagłym ruchem na piersi Wilka... I on pewno by nie wiedział, co się z nim teraz działo. Kiedy się nareszcie opamiętał, kiedy chciał przemówić do Lucy w imię spełnionego przed chwilą faktu, nie było już jej w pokoju. Był za to pan Chłodno, który puszcza-
jąc dym z ogromnego bursztyna położył spokojnie rękę na ramieniu Wilka i wedle zwyczaju „*il le regarda tout-à-fait comme un vrai loup*”¹⁰⁸.

– Jakże tam lekcje idą? *Comment cela va-t-il*¹⁰⁹ – spytał.

– A! bardzo dobrze!

– Może już dosyć umieją?

– Po paru jeszcze lekcjach.

– To bardzo dobrze. Będę mu bardzo wdzięczny za te lekcje.

Wilk skrzywił się trochę.

– Zbytek dobroci – rzekł.

– Nie, nie! wcale nie zbytek... Ale *à propos*¹¹⁰: mam do pana interesik. Czy to pan pisał ten artykuł w gazecie?

– Ja pisałem.

– O! to niedobrze!

– Tak pan znajduje?

– I hrabia Sztumnicki jest tegoż samego zdania. Jak to niedobrze jest zrażać sobie takich ludzi.

– Opinia hrabiego Sztumnickiego jest dla mnie obojętną.

– Nawet opinia hrabiego Sztumnickiego? Zresztą całe obywatelstwo jest niezmiernie oburzone. Pan niepotrzebnie się narażasz, panie Wilk, po co było pisać ten artykuł?

Wilk podniósł z dumą głowę.

– Odpowiadam za niego – rzekł.

– Kiedy wcale nie o to chodzi; ale pozwól pan sobie zrobić parę uwag. Ja sam cenię literaturę. W młodości pisywałem nawet wiersze i *parole d'honneur*¹¹¹ wcale niezłe. Ale chodzi o to, czym literatura być powinna? Owszem, gdyby podnosiła piękne strony obywatelstwa, gdybyśmy zakrywali wzajemnie nasze wady, uczyli innych, kogo mają uważać za czoło społeczeństwa... literatura taka przyniosłaby korzyść i czytającemu i piszącemu. Między nami, wierz mi pan, jest wielu ludzi zarówno dobrze urodzonych jak i postępowych. Literatura powinna być ostrożną – czy nie prawda? Pominę już, że niegodnie jest wykazywać błędy starszych... ale, gdybyś pan nawet prawdę mówił, każdy się spyta, skąd masz prawo prawdę mówić.

– Szanowny panie! stajemy na rozdrożu.

– Hrabia Sztumnicki był niezmiernie oburzony. „Sprowadziłem (powiada) konie angielskie, kupiłem w Wiedniu kocz¹¹², kupiłem tryka¹¹³ u Malcana, jestem popularny, witam się z każdym – trzymam ilustrację francuską – o tym (mówił) pan Wilk nie raczył wcale wspomnieć”.

Wilk roześmiał się.

¹⁰⁸ (franc.) spojrzął na niego jak na prawdziwego wilka.

¹⁰⁹ (franc.) jak to idzie?

¹¹⁰ *à propos* – (czyt. a propo; franc.) przy sposobności.

¹¹¹ (franc.) słowo honoru.

¹¹² *kocz* – (z węg.) powóz półkryty.

¹¹³ *tryk* – baran rozplodowy.

– Pan się śmieje, a całe obywatelstwo się oburza jego artykułem. My wszyscy idziemy za postępem. Hoszyński np. ma buldoga, do którego mówi po niemiecku, a sprowadził go z Wrocławia, bo, jak powiada, w Niemczech wszyscy mają psy takie. I pan temu nie zaprzeczysz?!

– A, a! nie zaprzeczę.

– Pan skończyłeś uniwersytet i mógłbyś, gdybyś chciał – naturalnie, gdybyś chciał – stać się nam i potrzebnym, i pożytecznym. Słusznie, że pan gani urzędników, ale o nas należałoby mówić inaczej. Gdyby tak np. zagładzić jakim artykułem przykre wrażenie i napisać nowy, podnoszący opinię obywatelstwa – co?

– A co?

– Napisz pan tak: „Donoszą nam z N..skiego, że tamtejsze obywatelstwo przez szlachetność” itd. Albo: „Pewną jest rzeczą, że wskutek wybornej uprawy roli i rozumu obywatelstwa zboże tam wydaje” itd. Pan byś to potrafił. Nieźle byłoby wspomnieć, że obywatelstwo tutejsze dlatego tak dobrze może gospodarować, że siedząc od dziada pradziada na jednej roli zna ją dobrze. Cóż pan na to?

– Nic, panie. Aż do tej chwili pamiętałem, że mówię z ojcem dzieciom.

Po czym Wilk wstał i wyszedł. W salonie zastał panią Chłodno, która pożegnała go jakoś oziębło, ale on nie zważał na to.

Po drodze wesoło machał kijem, ścinając przydrożne zioła. Księżyc świecił, cicho było w powietrzu, jako zwyczajnie pogodną nocą letnią. Nagle Wilkowi zdawało się, że słyszy jakby odgłos łamanych drzewek. Stał i słuchał. Tak jest, ktoś łamał drzewka owocowe, którymi Wilk obsadził drogę. Wszystka krew uderzyła mu do głowy.

– Kto tu? – krzyknął grzmiącym głosem.

Jakaś biała postać zaczęła co siłą uciekać ku gościńcowi. Wilk skoczył za nią jak błyskawica i w tejże chwili był tuż przy niej. Jakiś ogromny chłop widząc, że nie uciecze, obrócił się groźnie, trzymając siekiere w dłoni.

– A co ty, panku! myślisz, że ja się boj...

Stęknął i nie dokończył. Wilk jednym zamachem żelaznej ręki obalił go na ziemię i klękawszy mu na piersiach ryknął:

– Łotrze!

– Oj, panie! zlitujcie się! żona, dzieci! zlitujcie się... bójcie się Boga. Mnie zapłacili, żeby ja to zrobił!

Wilk puścił go i podniósł jak dziecko za kołnierz.

– Kto cię zapłacił?

– Wielmożny panie! to pan Strączek, żeby go wciornaści. Ja mam żonę i dzieci. Powiada: „Idź, Bartek, wyłam Wilkowi drzewa, dostaniesz po złotemu od sztuki”. Tak i poszedłem. On powiada: „Drzewka młode, łatwo się złamią”, a to, wielmożny panie, twarde licho, co i bez siekiery nie podolisz.

– Skąd ty jesteś?

– Od Hoszyńskich.

– Bartek! zrobiłem ja ci krzywdę kiedy?

– Nie.

– A tyś mnie za co skrzywdził?

– Za złoty od sztuki, wielmożny panie. Nie chciał dać więcej.

– To pójdiesz ty, Bartku, do sądu na srogie ukaranie i święty Boże nie pomoże, a Strączek swoją drogą mi zapłaci.

Tu zaczęły się modły, zaklęcia i przeprosiny, ale, niestety, Wilk nie należał do idealnej szkoły wielbicieli pocziwych kmiotków, a może i łagodności miał za mało – słowem, poszedł nieborak Bartek do sądu.

Wilk poleciał nazajutrz osobiście do Strączka i Hoszyńskich i kto wie, co by się stało, szczęściem nikogo z nich nie zastał w domu. Ale co się odwlekło, to nie uciekło. Sprawa poszła do miejscowych sądów. Wilk wygrał ją, choć żadną miarą nie mógł uzyskać wyroku, jakiego pragnął najbardziej. Chodziło mu o to, żeby Strączek poszedł do kozy, ale Strączek skazany był tylko na karę pieniężną, którą Wilk obiecywał sobie oddać na pomnożenie czytelnici.

Cały wyrok wydany był zaocznie. Strączek dowiedziawszy się o tym kazał odpowiedzieć jednym słowem:

– Dobrze.

Przykro jednak było naszemu bohaterowi, tym bardziej że od tego czasu posypały się nań klęski jedna za drugą. Wypadło znów kilka szkód w polach, wypasano mu lucernę, kradziono pszczoły, a i w mieście doznawał tysiąca najrozmaitszych przykrości. Czy się tym gryzł, czy nie, trudno powiedzieć, to tylko pewna, że im więcej doznawał przeszkód, tym większe i wytrwalsze rozwijał siły oporu.

„Ja sobie dam radę (pisał do przyjaciela). Przewidywałem kupując Mzynek, ile trudności będę miał do zwalczenia. A no, jednak burzy się we mnie krew i wyczerpuje cierpliwość. Zbyt mi w drogę włożą i mogą zapłacić za to drożej, niż myślą. Nie tyle jednak boli mnie samo prześladowanie, ile nিকczemność, która leży na dnie tego wszystkiego. Toczy się skryta walka w ciemnościach, ale ja wyrwę ją na światło dzienne. Nie upadam jednak na duchu. Myśl, że wśród ciemnoty i głupstwa, jakie mnie otacza, mam i ja skrzydlatego sprzymierzeńca, niby anioła opiekuńczego – myśl ta dodaje mi sił, ale i łagodzi mnie. Chcę mówić o Lucy. Nie mów ty mi w swych listach o niej z przekąsem, ani odzywaj się mi półsłówkami. Kocham ją i ufam jej. Stosunki nasze stały się takie, że uważam sobie za obowiązek wystąpić jak najprędzej z prośbą o jej rękę. Niknie wszelka gorycz, gotowym wszystkim wszystko zapomnieć, jeśli ona mnie wysłucha. A mam wszelką pewność! Może dziś lub jutro rozstrzygną się losy moje”.

Jakoż nie potrzebował długo czekać. W kilka dni po owym liście wyszedłszy na oglądanie nowej jakiejś szkody spotkał państwa Chłodno na spacerze. Oboje rodzice szli piechotą z nauczycielką i Bogunią, panna Lucy zaś konno harcowała po polach i drogach, na jakie półwiorsty przed rodzicami. Spostrzegłszy Wilka podniosła szpicrutę do kapelusza na znak powitania. Ręka jej spadła po amazonce, szukając dłoni Wilka.

– Ach, jak to dobrze, że pana spotykam; pójdziemy cokolwiek naprzód – pokaże mi pan swoje królestwo: *bonjour! bonjour!*¹¹⁴

Królestwo Wilka istotnie ślicznie wyglądało w ulewie promieni słonecznych, a i on także nigdy nie czuł się więcej królem.

Ręka panny Lucy nie puszczała jego dłoni, owszem, w długim i pełnym tajemnych drgań uścisku ręka ta zdawała się mówić:

– Oto nie możemy sobie pozwolić więcej, bo patrzą na nas, ale nie rozłączajmy się.

– Teraz albo nigdy! – pomyślał Wilk.

Dziwna jakaś a nieznana bojaźń ścisnęła mu serce. Jakoż chwila była dlań ważna: – od paru słów zawisła jego przyszłość.

Usiłował przemówić... i nie mógł, brakło mu słów jak temu, co pierwszy raz prosi o pożyczanie pieniędzy... Nowicjusz!

– Co pan taki poważny dziś, nawet smutny? – spytała Lucy.

– Jam tylko szczęśliwy.

Nowy uścisk dłoni dodany był jako komentarz dla stron obojga.

– Czy znalazł pan kwiat paproci, czy czterolistną koniczynę?

¹¹⁴ *bonjour* – (czyt. bązur; franc.) dzień dobry.

- O! mój kwiat stokroć piękniejszy!
- Głos panu drży... Gdzież pana szczęście?
- Przy mnie.
- Nikt nas nie słyszy... mów pan.
- Moje szczęście od pani zależy.
- Ode mnie?
- Tak!
- Uściśnij mi mocniej rękę... ode mnie?
- Kocham.

Pochylili się ku sobie młodzi, jakby dwa kłosy; niby szmer pocałunku przeleciał przez powietrze.

Wilk nagle pobladł, wyprostował się na całą wysokość i odkrył głowę.

- Lucy! podaj mi rękę na zawsze, bądź żoną moją.
- Co?

W Wilka niby piorun nagle uderzył. Lucy stała od niego na cztery kroki; gniew i zadziwienie malowały się na jej twarzy.

- Panie Wilk!
- Pani!...
- Panie Wilk! nie zapominaj, do kogo mówisz!
- Przez Boga żywego? co to znaczy?

Panna Lucy odchodziła od siebie z oburzenia.

– To znaczy, żeś pan postąpił ze mną niegodnie, nieuczciwie, nieszlachetnie, żeś pan nadużył mego zaufania, że to obraża mnie!

Fale krwi uderzyły na twarz Wilka; zamiast odpowiedzi chwycił za cugle konia Lucy.

- Puść mnie pan, lub zawołam papy!
- Wołaj! Musisz mnie wysłuchać! Przy wszystkich i w imię wszystkich pocałunków pytam raz jeszcze, co znaczą twoje słowa?

Wilk trząsł się febrycznie, a oczy jego rzucały błyskawice. Panna Lucy naprawdę przeleciała się teraz pogrózki; wszak to ona pierwsza rzuciła się ongi na piersi Wilka.

- Czego pan chcesz ode mnie?
- Wyjaśnienia, coś pani myślała, zezwalając na uściski i pocałunki? czyś się bawiła ze mną? czy rozumiałaś do czego to prowadzi? czy rozumiesz dziś, że to obowiązuje? – Czy brak ci serca, czy rozumu?

- Boże!...
- Mów! bo przy wszystkich o to pytać będę!
- A czy ja co winna!... Jaż się tak nudziłam w Chłodnicy!

.....

Wilk już nie pytał więcej: zrozumiał wszystko. Nudziła się biedaczka w Chłodnicy, zatem *pour passer le temps*¹¹⁵ wymyśliła sobie zabawkę. Przy tym miała lat dwadzieścia, więc nerwy jej nadały zabawie koloryt może zbyt ciepły. Gdyby miała lat z osiem, a Wilk z dziesięć, nazywałoby to się zabawą w męża i żonę. Ale w tym wieku, w którym byli, już się w męża i żonę nikt nie bawi. Bawią się za to w inną grę (bardzo zabawną) kochanka i kochankę – czasem mówią także – w miłość. Ale to jest tylko zabawa i nic więcej. Wilk brał ją nadto serio. Cóż Lucy o niej myślała? Myślała, że Wilk jest pięknym mężczyzną, a czuła, że wzburzone nerwy dobrze koją się pocałunkami. Temu, kto by chciał cokolwiek jej zarzucić, można by odpowiedzieć, że postępowała z dobrą wiarą; a że tam Wilk mógł przypłacić zbyt drogo, nie

¹¹⁵ (franc.) dla zabicia czasu.

przyszło jej na myśl. Przecież rodzona matka nazywała ją naiwną. Ale pani Chłodno nie zupełnie myliła się, licząc na rozsądek i dobre wychowanie córki. Lucy cofnęła się przed mezaliansem...¹¹⁶

A tu, czytelniku, maleńkie wyznanie na korzyść naszych salonów. Ile tam pocałunków przemknęło się po obsypanych ryżową mączką obliczach – nie nasza rzecz! mezaliansów jednak nie widzimy. Inna rzecz powiedzieć komuś: „kochajmy się, póki będziemy mogli”. Za to potem, gdy czas przeminie, mówi się:

„Ja cię wiecznie będę... wspominać,
Ale twoją być nie mogę”.

Opinia publiczna jest światłem; kogo oczy boją, sprawia sobie umbrelkę¹¹⁷ – męża. Wielu młodzieńczych gier by nie bywało, gdyby nie nerwy – te nieszczęśliwe nerwy!

Wszystko to jednak dobre dla nas; Wilkowi chyba na to się przydało że:

„... na pocieszenie
Słodką mu zostawiono rzecz – bo doświadczenie”.

Puścił konia Lucy. Mógł jej wprawdzie powiedzieć, że postępował uczciwie, że bez takiego rozwiązania, jakie rzeczom nadał, stosunki ich byłyby po prostu niemoralne, że pragnął uszlachetnić je itd. Mógł i wiele jeszcze powiedzieć, ale na co by to się przydało? Puścił konia Lucy... i nie skinąwszy jej głową, wrócił powoli do siebie.

A wracał bardzo powoli. Wracając czuł tylko, że stało się coś niezwykłego.

W pełnym zamętu kołowrocie myśli z wysileniem polował na iskierkę świadomości siebie, na wyraźne przynajmniej odbicie spełnionego faktu.

Dziwna rzecz! Nie czuł nawet żadnego bólu, nie rozpaczał, po prostu był ogłuszony.

Po długiej dopiero pracy uchwycił pewien rezultat wypadków. Rezultat ten był taki:

Po pierwsze – stracił Lucy; po drugie – sponiewierano go; a po trzecie...

Trzecia myśl trudna była do sformułowania. Ma ją mniej więcej człowiek wtedy, gdy mówi: „Muszę sobie oddać sprawiedliwość, że jestem głupcem”. Refleksja niezbyt bolesna, ale okoliczności, wśród których stał Wilk, czyniły ją dlań może boleśniejszą niż dwie poprzednie. W praktyce życia szła za nią utrata wiary w ludzi, miłości do ludzi i nadziei, żeby kiedyś było lepiej niż jest.

Wilk przesiedział bezsenny całą noc.

Ważyły się jego losy w samotnych godzinach bólu i rozmysłu. Godziny takie stanowią przełom w życiu. Ranek miał okazać, czy Wilk wyjdzie z walki niedołągą, czy zahartuje się jeszcze w ogniu.

Tymczasem gwiazdy pobladyły. Z mgły i szarych barw półświatła kształty zaczęły występować coraz wyraźniej.

Dniało.

Światło w izbie, gdzie siedział Wilk, zagasło, skrzypnęły drzwi – Wilk wyszedł i pobudziwszy parobków, ruszył z nimi do roboty.

To był dobry znak.

Gdy wreszcie rozwidniło się zupełnie, jedno spojrzenie na twarz Wilka przekonywało, że był uratowany.

Twarz jego była dość blada (nie spał całą noc), ale spokojna lubo poważna. Może było w niej nawet coś ostrego. Jednak nie osiwiął, ani ołysiał, ani się pochylił, ani nawet nie był smutny. Po godzinie pracy nikt by go nie odróżnił od wczorajszego i codziennego Wilka. O ósmej wrócił do domu i jadł dobrze.

¹¹⁶ *mezalians* – (z franc.) małżeństwo niedobre, nieodpowiednie, w pojęciu arystokracji małżeństwo z osobą „niższego pochodzenia”.

¹¹⁷ *umbrelka* – (z franc.) zasłona na lampę; zasłonka.

Parobcy zauważyli jednak, że tego dnia nie był zbyt cierpliwy; ale on i zawsze niezbyt był cierpliwy. Wieczorem znów pojechał do Strączka w sprawie połamanych drzewek i znów odpowiedziano mu, że pana nie ma. Wilk domyślał się, że go nie przyjmują, ponieważ jednak nazajutrz była niedziela, sądził, że złapie Strączka i rozmówi się z nim po kościele.

Niestety! nie przewidywał, co z tej rozmowy wyniknie. Już w czasie sumy Wilk zauważył, że zebrani obywatele zamiast zwykłych pogawędek i polowań woleli patrzeć na niego i szeptać między sobą tajemniczo. Strączek przyjechał później i, o ile Wilk mógł zmiarkować, przyjechał pijany. Za jego przybyciem spojrzenia i szepty zwiększyły się.

Wkrótce domysły Wilka zaczęły się wyjaśniać. Wyszedłszy z kościoła spostrzegł, że obie strony ścieżki, przez którą miał przechodzić, zajmowali panowie Sztumnicki, Chłodno, dwaj Hoszyńscy, Golibrodzki, Skomornicki, na środku zaś ścieżki stał Strączek z miną bezczelną i wyzywającą.

Wilkowi żywiej uderzyło serce: „O przez wszystkich bogów! – pomyślał – nie radzę im teraz wchodzić mi w drogę”.

„Teraz”, to Znaczyło: po onegdajszym zerwaniu z Lucy. Wilk jako ongi Hamlet¹¹⁸ czuł, że w nim teraz jest coś niebezpiecznego.

– No, cóż mości kolonisto! – zawołał Strączek – wygrałeś sprawę?

Wilk pobladł.

– Panie Strączek! – odrzekł głosem, któremu na próżno usiłował nadać ton spokojny – panie Strączek, wyrażenia twoje mogą być niebezpieczniejsze dla ciebie niż dla mnie.

– Ha! ha! ha! – zaśmiał się nienaturalnie Strączek. – Pytałem, co ci się należy? Doniosłeś, że to ja łamałem drzewka.

– Ha! ha! ha! – zabrzmiało w chórze.

Wilkowi oczy błysnęły jak u prawdziwego wilka.

– Panie Strączek! chwila jeszcze, a nie odpowiadam za siebie.

– *Ah! cela devient curieux!*¹¹⁹ – zawołał hrabia Sztumnicki.

– Co ci się należy! – pytam – zresztą milczeć!

– A ty mi z drogi! i wy wszyscy, jak tu jesteście.

– Co? co? Ty śmiesz tak mówić? A oto ci zapłata! oto za drzewka! oto jeszcze rubel na wódkę!

Strączek rzucił w oczy Wilka garść pieniędzy. Krew nie woda! Niby uderzenie piorunu ozwał się policzek... Strączek padł jak długi.

– Nikczemnicy! – krzyknął Wilk.

Zrobił się popłoch niemały: Sztumnicki zgubił okulary – inni panowie połamali kapelusze; mówiły złe języki, że Hoszyńscy z takim pośpiechem wsiadali do karety, że w środku uderzyli o siebie głowami. Wieczorem przyjechał do Wilka Skomornicki jako sekundant¹²⁰ Strączka. Hoszyńscy odmówili mu podobno tej przysługi. Wilk zgodził się na pojedynek.

„Pojedynek ten – pisał do przyjaciela – spadł na mnie niespodzianie. Mimo wszystkiego, co przeciw pojedyńkom mówią, w wielu kwestiach nie znajduję innego rozwiązania. Z tym wszystkim kłopot to dla mnie niemały. Mniejsza, że nigdy nie umiałem strzelać, a dziś mniej niż kiedykolwiek, ale ani wiem skąd wezmę świadka. Ciebie nawet nie. proszę – wiem, że twoje zasady nie pozwalają na to. W okolicy mam tylko nieprzyjaciół, a nie mogę przecie wezwać którego z moich parobków, bo rzecz nie chodzi o kije. Zmiłuj się, przyślij mi kogo z Warszawy! Chciałbym rzecz skończyć jak najprędzej. Sądzę, że to źle się skończy dla jednego

¹¹⁸ *Hamlet* – bohater tragedii pod tymże tytułem napisanej przez wielkiego dramaturga angielskiego Szekspira; tu: człowiek niezdecydowany, chwiejny.

¹¹⁹ (franc.) Ach, to zaczyna być ciekawe!

¹²⁰ *sekundant* – (z łac.) świadek pojedynku.

z nas, ale chyba by sprawiedliwości nie było, żeby w walce między mną a Strączkiem – zwycięstwo miało paść na jego stronę. Na wszelki jednak wypadek chcę być w porządku, dlatego posyłam ci kopię testamentu. Bądź zdrow i zmiłuj się, dawaj świadka, bo nie wiem, co zrobić”.

Ale wypadek wyprowadził Wilka z kłopotu. Tegoż dnia otrzymał list od pana Ludwika, w którym ten ostatni zrzekał się stanowczo czytelnicy, obiecywał wyrzucić ją w błoto. On wie, że Wilk jest zdrajcą, że zamierzał wydrzeć mu Kamilę – ale nic z tego! W końcu dawał do zrozumienia, że gdyby Wilk chciał dochodzić orężem „tych tu słów”, to on, tj. pan Ludwik, gotów stanąć na żądanie.

Równało się to prawie wyzwaniu. Wilk uśmiechnął się i rzucił list do ognia, ale po krótkim namyśle siadł i odpisał w ten sposób:

„Dziecko jesteś, panie Ludwiku. Nikt nie myśli się z tobą strzelać; czytelnicy zaś może nie wyrzucisz na ulicę, jeśli zechcesz pofatygować się do mnie dziś, o co licząc na twój honor i poczciwe serce, najmocniej cię upraszam”.

W parę godzin potem pan Ludwik przybył istotnie do Mżynka – Wilk powitał go serdecznie.

Czekałem na pana z niecierpliwością.

– O co chodzi?

– Ze wszystkich ludzi, których poznałem w tej okolicy, cenię cię, panie Ludwiku, najbardziej; tyś przynajmniej nie zepsuty aż do szpiku kości. Podaj mi rękę i słuchaj.

– O co chodzi panie dobrodzieju?

Wilk opowiedział wypadek ze Strączkiem, po czym rzekł:

– Liczę na pana, że zechcesz być moim świadkiem. Nie mam tu nikogo w okolicy; wszyscy mnie nienawidzą i wszyscy prześladują.

– A! jak to być może?

– Jednak, cóż ja komu złego zrobiłem; pracowałem jak wół, chcąc polepszyć w okolicy gospodarstwo, a te pieniądze, za które stoi czytelnica, od ust sobie odjąłem. Czego ja chciałem, panie Ludwiku? do czego dążyłem?

Pan Ludwik uznał za stosowne odpowiedzieć cokolwiek, ale poprzestał na tej uwadze.

– Patrz! – mówił dalej Wilk. – W innych stronach kwitnie wszystko rozumem, ładem, dostatkiem, wznosi się rolnictwo, wznosi się przemysł, budują fabryki, ludzie pracują, czytają, myślą; wszyscy dążą do tego, co rozumne i dobre – błogosławią naukę i pracę, a u nas co?

Wilk zaczął się stopniowo ożywiać i na twarz wystąpiły mu rumieńce; mówił z żarem.

– U nas męty, zło i niemoralność: lenistwo i pycha u góry, ciemnota u dołu. Toż patrz, kto u nas zamożny? kto szczęśliwy? kto choć spokojny? Jedni wydają życie po groszu na gnuśnych i marnych zachciankach, drudzy choć i pracują – to łzy i pot im zapłata, bo pracują nieumiejętnie. Więc czegożem ja chciał? czy chciałem własnych korzyści? czy znalazłem między wami szczęście? Jeśli wam mówił: porzućcie karty, butelki, bilard, próżniactwo! jeśli ostatni groszłożył na czytelnicy, jeśli wołał: pracujcie, pracujcie, w nauce przyszłość, w nauce wam własne dobro! to, panie Ludwiku, czy własny interes mną powodował? A no, spojrzij i tu (Wilk pchnął ręką okno i ukazał na pola mżynieckie), widzisz, jak zielenią się pola, jak szumi zboże. Patrz! wszędzie znać żelazną pracę. Pamiętasz, że Mżynek był rudera, a dziś powiedz, gdzie rozkwit podobny? Z dumą powiadam: jam to uczynił, a Boga biorę na świadka, że nie dla siebie pracowałem od świtu do nocy, nie dla siebie przelewałem pot chodząc za plugiem. Dla mnie marnego człeka dość by mleka dzban i kawał chleba, ale chciałem innym okazać skutki przykładem. Och! panie Ludwiku! ja tylko chciałem zachęcać i nauczać. Gdyby chciano pomagać mi zamiast przeszkadzać, już dziś inaczej wyglądałaby okolica: zawrzałyby praca, zakwitła zamożność, spokój i szczęście. Tegom chciał – a jednak co?... Mniejsza, że nie powiedziano mi: Bóg zapłać, mniejsza, że szczęścia nie znalazłem, człek i w zmartwieniu

może pracować. Nic tego mi nie szkoda! Ale jutro, pojutrze, jeśli mi kula w łeb – to i zmar-
nieje wszystko, com zrobił. A no i tobie nie skargę wypowiadam, ale chcę, by choć jeden
mnie zrozumiał, by choć jeden wyszlachetnił się i oświecił.

– A! panie dobrodzieju! – zawołał ze łzami zacny pan Ludwik – gdybym ja to był wiedział,
gdybym ja to był rozumiał!

– Nie wyrzucisz na ulicę czytelnik? będziesz pracował? będziesz uczył siebie i drugich?

– Przysięgam! przysięgam! Aaa! ostatni grosz na książki. Przysięgam, będę innym czło-
wiekiem!

– Ano, to uściskaj mnie i bądź moim świadkiem.

Pan Ludwik rzucił się w ramiona Wilka, a gdy potem podniósł głowę, bogdaj, czy to nie
inny był już człowiek. Oczy świeciły mu takim ogniem jak nigdy przedtem; drżał, wielkie
skry zapału przechodziły go od stóp do głów.

Obudziła się dusza i rwała do postępu a światła.

– Ach! czemuż pan nie przemówił tak do mnie pierwej – zawołał wzruszonym głosem. –
Pan dobrodzieju bywał czasem taki ostry! taki surowy!

Pan Ludwik ani przypuszczał, że wyrzekł słowa ogromnej wagi, tłumaczące w znacznej
części ogólną niechęć, jaką budził Wilk. Tak! tak! – bywał Wilk surowy i ostry! On sam usły-
szawszy ten łagodny wyrzut spuścił głowę i milczał. Każdy ma swoje wady – to prawda, ale
Wilk milczał, bo nie chciał się tłumaczyć tym panu Ludwikowi, że każdy ma swoje wady, a
nie umiał tłumaczyć się inaczej.

W życiu brakło mu nieraz wyrozumiałości. Daje to do myślenia. Wilk nie umiał wychodzić
z ludźmi – nie dość miał umiarkowania i miłości. Wilk przedstawiał szowinizm¹²¹ postępu.

Pan Ludwik zabawił parę godzin u Wilka, czekając na Skomornickiego, sekundanta
Strączka. Gdy przyjechał, ułożono warunki: odległość dwadzieścia kroków; przeciwnicy mieli
zbliżając się do siebie strzelać, kto pierwszy chce – ale o osiem kroków już strzał był obo-
wiązkowy. Prócz tego, by po pojedynku nie narażać ni przeciwnika, ni świadków, że każdy ze
strzelających będzie miał przy sobie list, w którym sam siebie oskarża o samobójstwo.

Pozostawało kilka dni do ostatecznego terminu. Przez te kilka dni Wilk pracował jak daw-
niej w polu, w wolnych godzinach wprawiał się w strzały, wieczorami zaś porządkował swe
sprawy i pisywał. Oto jeszcze kilka słów z jego listu pisanego do przyjaciela w przeddzień
spotkania.

„Mimo, że nie umiem strzelać, nie wiem jakie przeczucie mówi mi, że wyjdę z tej walki
zwycięsko. Jutro termin. Staram się być spokojnym; ale nie mogę opędzić się pewnym my-
ślom, z którymi, zdawało mi się, żem już skończył raz na zawsze. Wyznaję, że chciałbym
choć raz jeszcze ujrzeć Lucy – tak... popatrzeć się na nią z jakiego kąta jeszcze choć przez
chwilę. Oddałbym Bóg wie ile, żebym mógł przynajmniej nie pogardzać nią. Wiem, że to
słabość, ale wstyd wyznać, jak trudno mi walczyć z podobnymi myślami. Zresztą, jestem spo-
kojny i mam dobrą nadzieję. Czy odebrałeś kopię testamentu? Jutro o piątej rano termin. Na-
tychmiast po pojedynku przyjeżdżam do Warszawy. Bądź zdrow, drogi chłopcze! ściskam cię
i pozdrawiam znajomych”.

W. Garbowiecki.

Nazajutrz zaledwie świt, na skraju lasu między miasteczkiem a Mzynkiem, Wilk z panem
Ludwikiem czekali na przeciwników. Twarz Wilka była poważna, ale oczy patrzyły jasno.
Spokój, a nawet chłód jakiś wiał od jego postaci; znać było, że chwili obecnej nie brał lekko;
w rysach jego malowała się niezłomna wola, a nawet pewna zaciętość.

Po kwadransie oczekiwania przybyli Strączek ze Skomornickim i doktorem.

Wszyscy skłonili się sobie wedle zwyczaju, po czym przeciwnicy spojrzeli sobie w oczy.

¹²¹ *szowinizm* – (z franc.) skrajny nacjonalizm; tu: krańcowość, przesada.

Był to niejako pojedynek przed pojedynkiem. Strączek spuścił wzrok ku ziemi.

Zapewne wziął to za zły znak. Nie tchórzył, ale widocznie nie miał spokoju Wilka. W ruchach jego była pewna gorączkowość, a na ustach uśmiech, ale też tylko na ustach, Bóg wie, co się tam działo w duszy, to tylko pewne, że nienawidził przeciwnika ze wszystkich sił.

Palił cygaro. Zdawało się, że był dobrze po kilku butelkach. Odmierzono metę – przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie. Tu, jak wiadomo ci czytelniku, następuje mówka. Treścią jej miłość bliźniego, kończy się zaś wezwaniem przeciwników do wzajemnego uściskania się.

Przeciwnicy odmawiają.

Mówka brzmi po polsku. Zły zwyczaj, ale taki zwyczaj. Następne za to słowa, jeśli sekundanci są ludźmi dobrego tonu, mówią się po francusku: – *Messieurs commencez!*¹²²

A że Skomornicki był człowiekiem dobrego tonu, dał więc oczyma znak panu Ludwikowi, po czym zwrócił się do przeciwników i rzekł:

– *Messieurs commencez!*

Wilki podniósł pistolet do wysokości ramienia i zbliżając się do przeciwnika mierzył spokojnie. Broń w jego ręku, jak gdyby ujęta w żelazne cęgi, nie poruszała się najmniejszym drganiem. Tymczasem wionął wiatr cichy, zaszemrał liść, z brzeziniowych gałązek krople rosy niby brylantowy deszcz spadły na ziemię.

Przeciwnicy przetrzymywali się wzajemnie; byli już od siebie o jakie osiem kroków.

Świadkowie spojrzeli na siebie niespokojnie. Nagle buchnął strzał... Sekundanci skoczyli żywo naprzód. Wilk zachwiał się, zacharczał krwią i padł na twarz z szeroko rozłożonymi rękoma.

Kula Strączka strzaskała mu czaszkę.

Jeszcze nie koniec historii. Starania hrabiego Sztumnickiego, Chłodnow i Hoszyńskich urwały głowę sprawie, jaka wytoczyła się po śmierci Wilka. Powszechnie zgodzono się na to, że powodem śmierci było samobójstwo, a powodem samobójstwa... Dobrowolni świadkowie, którzy znali dobrze Wilka, złożyli piśmiennie następujące zeznanie:

1. Ponieważ nieboszczyk za życia odznaczał się niezwykłą tak w słowach, jak postępkach oryginalnością i dziwactwem swych zasad;

2. Ponieważ zakładał jakieś czytelnie i sprowadzał książki, których nikt nie chciał czytać;

3. Ponieważ ze szczególną natarczywością napadał na ludzi zachęcając ich, mimo najsilniejszego oporu, do nauki;

4. Ponieważ uczył czytać swoich parobków;

5. Ponieważ do gospodarstwa w swojej kolonii wprowadzał dziwaczne i nieznanne nowości, jak to: jedwabnictwo, pasieki, wysadzanie dróg owocowymi drzewami, bez czego, jak wiadomo, wszyscy porządni ludzie obejść się mogą;

6. Ponieważ, mimo iż podobno był szlachcicem, sam za pługiem chodził i dopuszczał się częstokroć najprostszyc prac w gospodarstwie;

7. Ponieważ takie postępowanie ze zdrowym rozsądkiem pogodzić się nie da...

Przeto oni – podpisani świadkowie – jednomyślnie zgadzają się: „że nieboszczyk cierpiał pewnego rodzaju manię, która dla wszystkich rozsądnych była widoczną, a która z czasem przeszedłszy w zupełne obłąkanie stała się przyczyną samobójstwa”.

Wilka jako samobójcę pochowano poza murem cmentarnym. Na grobie jego porósł bujnie piołun.

¹²² *Messieurs commencez* – (czyt. mesie komansé; franc.) Panowie zaczynajcie.

DWIE DROGI

I

Miś Rossowski leżał w głębokim fotelu naprzeciw Jana Złotopolskiego, który leżał w drugim fotelu. Miś palił cygaro i puszczał dym na Jasia, a Jaś palił cygaro i puszczał dym na Misię.

Milczeli. Wreszcie Miś spojrzał posepnie na guziki swych kamaszów i odezwał się:

– No i cóż będziesz dalej robił?

– Albo ja wiem.

Nastała znowu chwila milczenia. Jaś nalał Misiowi szklanę porteru¹, sam z rezygnacją pociągnął ze swojej. Widać było pewne zakłopotanie na twarzach obydwóch: zgadłeś, przyszła na nich ciężka chwila.

– Wiele ci może zostać po zajęciu Złotopola? – spytał znowu Rossowski.

– Nic.

– Nic zupełnie?

– Te trochę gratów.

Widocznie niedola, o której mówili, miała na imię: ubóstwo. A jednak na pozór nic nie zdawało się go zapowiadać: ubrania na nich były pierwszej mody; fotele, na których siedzieli, aksamitne, mieszkanie umeblowane ze smakiem i dostatkiem;

Przed nimi stała elegancka zastawa do śniadania. Nic nie brakło, chyba wesołości u rozmawiających.

– Więc cóż tedy myślisz robić?

– Mówiłem ci, że nic nie wiem.

– O! ciężkie czasy, w których nawet ludzie tacy, jak my, muszą sami o sobie myśleć.

– Ciężkie! – potwierdził Złotopolski.

– Z Bujnickimi nie możemy skończyć?

– Choćby dziś. Matka jest za mną, a panna pewno nie ma nic przeciw.

– Zatem kończ.

– Mój drogi, upewniam cię, że mój przyszły papa ma jeszcze więcej długów ode mnie.

– Dlaczegoż się więc starasz o pannę?

– Bo ją kocham.

Jaś Złotopolski powiedział to takim tonem, że choć mu było nie do śmiechu, i sam roześmiał się i rozśmieszył Rossowskiego.

– Doskonały jest ten Jaś! Mów no bez żartów.

– O czym?

– O Fanny Bujnickiej.

– Dobrze. Otóż ożenię się z Fanny dla tych samych powodów, dla których nie żenię się z Berlińską.

– Berlińska ma tylko jedną zaletę.

¹ *porter* – (z ang.) czarne piwo angielskie.

- Jaką?
 - Sto tysięcy rubli.
 - Przepraszam cię, dla mnie ma osiemkroć.
 - A to jakim sposobem?
 - Chyba nie wiesz, co powiedział papa Berliński, że jeżeli córce trafi się nie szlachcic, to dostanie sto tysięcy rubli – a jeżeli szlachcic, zwłaszcza taki, jak ja lub ty, to osiemkroć. Ale Berliński ma jeszcze jedną zaletę, o której może nie wiesz.
 - Nie wiem.
 - A no, dziadka hassyde² który do dziś dnia wyprawia pobożne tańce z dziesięciorgiem przykazań na głowie.
 - Oj! to sęk!
 - Fanny ma przynajmniej nazwisko.
 - I brzemie długów papy?
 - I to sęk!
 - Słuchaj, Jasiu! ja ciebie nie rozumiem. Nigdy bym się nie ożenił z panną bez nazwiska, ale też nigdy nie wziąłbym nazwiska bez pieniędzy. Berliński ma jedno, Fanny – drugie. Z obiema nie możesz się przecie żenić.
 - Być... albo nie być?
 - Patrzaj! z Szekspira³ coś zarywasz?
 - Oj, Misiu Rossowski! Misiu Rossowski!
 - Czego chcesz?
 - Naiwny jesteś.
 - Tak twierdzisz?
 - Tak. Uważaj; Fanny, gdyby dziś miała pieniądze, nie poszłaby za mnie dlatego, że ja ich nie mam. Dla Berlińskiej mam przynajmniej nazwisko. Fanny go nie potrzebuje – jej potrzeba pieniędzy.
 - I tobie potrzeba pieniędzy. Jaś Złotopolski zanucił:
 - „Potrzeba nam pieniędzy
 - Wenus⁴ pieniędzy nie chce dać...”
 - Otóż dlatego, szanowny Misiu Rossowski, że Wenus nie chce dać pieniędzy, a my obadwa potrzebujemy, ona zgodzi się wyjść za mnie, a ja zgodziłem się już.
 - Mów dalej, mój drogi... ty czasem bywasz taki dowcipny! zatem pobierzecie się i...?
 - Ja będę żonaty, a ona zamężna.
 - A dalej?
 - Domyśl się, Misiu! Ja nie należę do ludzi, którzy robią coś bez powodu. Fanny wyjdzie dziś za mnie dlatego, że nic nie ma, a ja ożenię się z nią dlatego, że kiedyś coś będzie miała. Rozumiesz teraz, mój panie? Będę miał żonę, jakiej ty przy twoich Rossowcach nigdy nie znajdziesz. Rozumiesz, mój panie?
 - Myślisz o ciotce?
 - Myślę i myślę, że siedzi na dożywociu po swoim mężu, a stryju Fani, zatem to nie może minąć.
 - A jakby to minęło?
- Złotopolski położył rękę na ramieniu Rossowskiego.

² *hassyda* – *chasyd*; chasydzi – (z hebr.) fanatycznie pobożny odłam Żydów.

³ S z e k s p i r (Shakespeare William, 1564–1616), wielki dramaturg angielski. ”Być albo nie być” – słynne zdanie Hamleta w dramacie pod tym samym tytułem.

⁴ *Wenus* – (łac. Venus) rzymska bogini piękności i miłości; w mitologii greckiej nosiła miano Afrodyty.

– Przyjacielu! śmierć nikogo nie mija. Kiedy cioci zaśpiewają: „*Dies irae*”⁵, to ty, drogi Misiu, zaśpiewasz mi wówczas coś weselszego, np...

– Pana Tadeusza, jeszcze przedtem nim cioci: „*Dies irae*”. Nawet przypomnij sobie nutę, bo ci to będzie potrzebne.

Złotopolski posmutniał.

– Yes!⁶ Jeżeli mi sprzedadzą Złotopole, to Fanny ani przed, ani po śmierci ciotki mnie nie zechce.

– Yes!

– Och! gospodarować teraz, to lepiej kamień sobie u szyi uwiązać – przerwał Złotopolski.

– Och, gospodarować teraz, to lepiej się nie rodzić.

– Dawnoś był u siebie w Złotopolu?

– Rok temu. A ty w Rossowcach?

– Rok temu, drogi Jasiu.

– My to najlepiej rozumiemy, co znaczy gospodarstwo!

– A tak, właśnie dlatego, że siedzimy w Warszawie.

– Możemy zatem ocenić, jak małe mamy dochody.

– Zresztą, z raportów naszych ekonomów...

– Wiesz, Misiu, my jesteśmy męczennicy!

– Znosimy to z rezygnacją: „*noblesse oblige*”!⁷

– Ktoś dzwoni.

– Niech sobie dzwoni. Jeżeli wierzyciel, nie oddam mu ani grosza, owszem, zabawimy się! Franciszek, puszczać!

Po chwili Franciszek, lokaj, otworzył drzwi panu adwokatowi Maszko. Był to młody jeszcze człowiek, który pracą doszedł do kawałka chleba i wszystko sobie tylko zawdzięczał. Prócz adwokatury zajmował się rozmaitymi interesami i miał się dobrze. Ale że pochodził z mieszczan z Przytyka, szukał tedy bardzo naturalnie związków z szlachetną młodzieżą, która go tolerowała, a czasem się nim bawiła. Ale pan Maszko miał zdrowy rozsądek i wołał, żeby tacy ludzie drwili z niego, niż żeby nie mieć znajomości między takimi ludźmi. Pan Maszko miał nawet rozum, bo oczywiście tacy ludzie oddawali mu w ręce interesa majątkowe, na czym zarabiał; pan Maszko miał nawet charakter, bo oddawał wszelkie możliwe usługi takim ludziom, szukał ich, szczylił się ich znajomością, ale pieniędzy im nie pożyczał.

– *Bonjour! bonjour mes amis*⁸ – witał pan Maszko, podając ręce obydwom.

Młodzi ludzie, nie wstając, podali mu dłonie.

– Ach, Maszko! że też ty nigdy nie nabierzesz manier – rzekł zimno Rossowski. – Ty chyba nie masz w sobie krwi naszej.

– Naprzód, wiedz o tym – odparł przybyły – że Maszkowie są tak dobrą szlachtą jak i wszyscy inni, a po wtóre, powiedz mi, w czym moje maniery zasługują na zarzuty?

– Jak ty rękę podajesz?

– Jakże mam podawać? Wyciągam dłoń i ściskam rękę tego, z którym się witam.

– A to jest do najwyższego stopnia *mauvais genre*⁹.

– Do najwyższego stopnia! – potwierdził Złotopolski.

– Przez Boga żywego! co mam robić?

⁵ *Dies irae* – (czyt. dies ire; łac.) dzień gniewu, dzień sądu ostatecznego – początkowe słowa hymnu pogrzebowego.

⁶ *yes* – (czyt. jes; ang.) tak.

⁷ *noblesse oblige* – (czyt. nobles obliż; franc.) szlachetność obowiązuje.

⁸ *Bonjour mes amis* – (czyt. bą żur me zami; franc.) Dzień dobry moi przyjaciele.

⁹ *mauvais genre* – (czyt. moweżanr; franc.) zły styl, w złym guście.

- Jak to? tego nie wiesz? Nas przecie nie trzeba tego uczyć, my mamy to we krwi.
- Ależ i ja mam we krwi, zaręczam wam za to; tylko jak nie wiem, no, to nie wiem! Mam we krwi, ale... w zarodku... Każda rzecz potrzebuje się rozwinąć.
- Wiedz więc o tym, że ręki się nie wyciąga wedle zasad dobrego tonu.
- Tylko co się robi?
- Tylko się kurczy.
- Zmiłuj się, jak ja skurczę rękę i ten, z którym się witam, skurczy ją także, to się nie przywitamy.
- To się nie przywitacie, ale nie ubliżycie w niczym prawom, przyjętym przez ludzi dobrze wychowanych. Podając rękę trzyma się dłoń wyprostowaną przy samych piersiach, albo przy samej pasze. Uważasz: ręka powinna być skurczona, dłoń wyprostowana i położona przy samej pasze. A kto chce, niech po nią sięga. Oto jest godne człowieka dobrze wychowanego.
- A co! zawsze coś we mnie mówiło, żeby tak rękę podawać! Tak, tak! to jest najodpowiedniej. Jasiu, mój drogi! przychodzę do ciebie w pewnym interesie. Ale co ci jest? jakiś smutny jesteś?
- Mam długów więcej niż włosów na głowie.
- O! istotnie, to bardzo nieprzyjemna rzecz.
- Jaka rada na to?
- Zapłacić.
- Skąd wziąć pieniędzy?
- Sprzedać Złotopole.
- Chcę to od dawna zrobić, ale skąd kupca?
- Maszko uśmiechnął się.
- Właśnie z tym do ciebie przychodzę.
- Wybawicielu!
- Ludzie jak my powinni sobie pomagać! Znajdzie się kupiec.
- Kto?
- Niemcy.
- Jacy?
- Koloniści.
- Aa!
- Ale musisz jechać do Złotopola.
- Po co?
- Ułożyć cały interes. Ja pojedę z tobą.
- I zostanie mi się co, jak sprzedam w ten sposób Złotopole?
- Mój kochany, Złotopole razem z Kalinowszczyzną to magnacki majątek; gdyby towarzystwo sprzedało¹⁰, to nie tylko ty nic byś nie dostał, ale jeszcze wierzyciele by spadli. Inna rzecz kolonizacja.
- Ileż może pozostać?
- Ze trzykroć – rzekł niby niedbale Maszko. – Zresztą, uważasz, ponieważ to tak dobrze brzmi: Złotopolski na Złotopolu – znajduję więc sposób, żebyś Złotopole sprzedał, a jednak je miał.
- Niech kto co chce mówi, ten Maszko jest jednakże gentlemanem¹¹. Jakże to będzie?

10 *towarzystwo sprzedało...* – mowa tu o Towarzystwie Kredytowym Ziemskim, założonym za czasów ministra Lubeckiego. Była to instytucja zajmująca się finansowymi sprawami właścicieli ziemskich w Królestwie Polskim.

¹¹ *gentleman* – (ang., czyt. dżentlmen) człowiek dobrze wychowany, o dużym wyrobieniu towarzyskim, taktowny.

– Szczerze ci dziękuję. Jestem gentlemanem i dlatego właśnie rozumiem położenie gentlemana, który ma więcej długów niż włosów na głowie. Złotopole sprzedasz Niemcom, a zostawisz sobie park. To wszystko będzie się oczywiście zwało: Złotopole.

– Maszko!

– Kochany Jasiu! Tak jest i za granicą, prawdziwy szlachcic trudni się polowaniem, ale nie rolą. Złotopole będzie niby twoim *pied-à-terre*¹².

– Wiesz, Misiu! – zawołał Złotopolski – Maszko jest równy nam pod każdym względem, a jednak, o Misiu! Misiu! między nami i Maszką jest jedna wielka różnica.

– Jaka?

– Że Maszko ma głowę, a my jej nie mamy.

Rossowski odrzekł obojętnie:

– Kto wie, czy Pan Bóg nie dlatego dał Maszce głowę, żeby nas nie utrudzać zbyt ciężarem.

– Już to tobie musi być lekko, drogi Misiu?

– I tobie, kochany Jasiu.

– Ależ, przyjaciele! – zawołał Maszko – nie macie sobie nic do wyrzucenia. Jasiu, pod jednym warunkiem zajmę się twymi interesami.

– A warunek ten?

– Dasz nam u siebie, w Złotopolu, obiadek przyjacielski; zaprosisz mnie, Misia, Antosia i kogo chcesz więcej z naszego grona.

– Doskonały projekt.

– Zatem pojutrze najdalej jedziemy do Złotopola. *Adieu Mich!*¹³ *Fare well John!*¹⁴

Tu Maszko wziął za kapelusz i ulokowawszy rękę koło pachy wyciągnął palce w kierunku Misia i Jasia, a zaś Miś i Jaś ulokowawszy ręce pod swoimi pachami, wyciągnęli palce ku Maszce. Dłonie ich spotkały się ze sobą.

Gdy Maszko wyszedł, Miś udusił gwałtownie w popielniczce na wpół dopalone cygaro i odezwał się z gniewem:

– Ambetuje¹⁵ mnie ten Maszko!

– Przyznaj jednak, że on ma głowę.

– Właśnie ta głowa, ten spryt do interesów, ten dar radzenia sobie na świecie, przepraszam cię, ale my tacy nie jesteśmy.

– Albo to między nami nie ma ludzi z głową?

– Nie mówię, ale nie do interesów. Wiem, że Władzio ma głowę – mój ojciec miał głowę...

– A i ty przecie masz talent krasomówczy?

– Że tam czasem jaki *speech*¹⁶ powiem.

– Powiesz na obiadku w Złotopolu. Ej! co tam! niech żyje Maszko i Niemcy.

– Wiesz, Jasiu, co ci powiem?

– Nie jestem jasnowidzącym, Misiu, zatem nie mogę odgadnąć.

– Że Niemcy chyba mniej jeszcze rozumu od nas mają.

– Dobrze powiedziane – *mais pourquoi ça?*¹⁷

– A bo dają nam gotówkę, a biorą ziemię.

¹² *pied-à-terre* – (czyt. pie ta ter; franc.) mieszkanie, w którym rzadko się przebywa, traktowane jako miejsce, w którym można się w razie potrzeby zatrzymać

¹³ *Adieu Mich* – (czyt. adie Misz; franc.) Żegnaj Misiu.

¹⁴ *Fare well, John* – (czyt. fer uel Dżon; ang.) Żegnaj Janie.

¹⁵ *ambetować* – (z franc.) nudzić, niecierpliwic.

¹⁶ *speech* – (czyt. spicz; ang.) przemówienie.

¹⁷ *mais pourquoi ça?* – (czyt. me purkua sa; franc.) ale dlaczego to?

- Dobrze powiedziane.
- Ich chyba Pan Bóg na to stworzył, żeby ratowali szlachtę polską – biorą ziemię, a dają talary; rozumiesz, Jasiu! – talary!
- Rozumiem i czuję, że będę je posiadał. Nie mów nic o tym u Bujnickich; chcę Fanny zrobić niespodziankę.
- Dobrze. *Adieu!*
- *Adieu!*

II

Panna Fanny Bujnicka, perła okolicy, „*fleur de Cuyavie*”¹⁸, siedziała w salonie z matką i jednym gościem, niejakim panem Maciejem Iwaszkiewiczem, inżynierem. Rozmowa biegła koło niezwyklej i niespodzianej wieści, że Złotopolski ma podobno wyjechać do siebie na wieś.

Iwaszkiewicz spoglądał na pannę Fanny, a czasem i ona spoglądała na niego, gdyby kto chciał ściślej brać rzeczy, to może i częściej, niż dobry ton pozwala pannie spoglądać na człowieka, który niżej stoi od niej na drabinie socjalnej.

Bo pan Iwaszkiewicz niżej stał. On był synem profesora, a ona córką obywatela ziemskiego. Któż by chciał porównywać? Ale znali się od dawna. Państwo Bujnicy, chociaż, a raczej dlatego, że mieli majątek ziemski, mieszkali w Warszawie, ojciec Iwaszkiewicza jako profesor także w Warszawie i w jednym z Bujnickimi domu, zatem panna i młodzieniec znali się od małego i ongi, nieraz bywało, bawili się w jednym ogródku.

Bo pani Bujnicka, chociaż młody Iwaszkiewicz nazywał się Maciuś, i choć był tylko synem profesora, pozwalała się Fani z nim bawić.

– Moja Faniu – mawiała zwykle – nawet i tacy ludzie, którzy nie mają majątków ziemskich, są, kochanie, naszymi bliźnimi. Pamiętaj o tym, Faniu!

Bratowa pani Bujnickiej, druga pani Bujnicka, łajała matkę Fani o taką popularność: „Ja bym – mówiła – nie pozwoliła bawić się mojej córce z chłopcem, który ma takie trywialne¹⁹ imię, a zresztą bałabym się, żeby dziewczynka nie nasiąkla jakimi zasadami w złym duchu”.

– Prawda, moja droga, ale młody Iwaszkiewicz ma bardzo dobry akcent²⁰ – odpowiadała matka Fanny. – Nie rozumiem, skąd tacy ludzie mogą mieć tak dobry akcent.

Wiadomo powszechnie, ile u nas dobry akcent może cudów sprawić. Miś Rossowski mawiał nawet, że nie pojmuje, jak uczciwy człowiek może mieć zły akcent.

Zawdzięczał więc Maciuś francuszczyźnie, że mógł się bawić z panną Franciszką Bujnicką. I bawili się też, bywało, jako dzieci gwarząc, szczebiocząc, skacząc. Ona biegła naprzód, a on nadażał za jej złotymi lokami, które wiatr w biegu kołysał, i zbierał dla niej kwiatki, to kamyki świejące, i co Bóg dał, byle Fania rozweseliła błękitne oczki i powiedziała „*merci!*”²¹

Płyną lata jak obłoki po niebieskim przestworzu i w miarę jak dzieci rosły, coraz miłszą zdawała się im wspólna zabawa. Sielanka zmieniałaby się na inny może poemat, gdyby nie interwencja prozy, która pod postacią gospodarza domu, nie dozwoliła Maciusiowi bawić się dłużej z Fanią.

¹⁸ *fleur de Cuyavie* – (czyt. fler de kiujawi; franc.) kwiat Kujaw

¹⁹ *trywialny* – (z łac.) pospolity, płaski; termin pochodzący od łacińskiej nazwy niższego kursu w szkole średniowiecznej.

²⁰ *dobry akcent* – poprawna wymowa.

²¹ *merci* – (czyt. mersi; franc.) dziękuję.

Po prostu profesor, ojciec Maciusia, nie miał czym płacić za mieszkanie i musiał wyprowadzić się, a pan Bujnicki miał czym płacić i został.

Płyną lata jak fale wiślane. Od tego czasu płynęły jedne za drugimi, i ani Maciuś nie widywał Fani, ani Fania nie widywała Maciusia. I zapomnieli o sobie, jak kazał czas, czyli owe lata – fale.

Ale los jest miłosierny i zawsze sprawia tak, że ci, co się widywali za rannych lat dzieciństwa, spotykają się i później.

Przez to oni mogą kochać się dalej, a i powieściopisarz może ciągnąć dalej powieść.

Nie wiedziała tedy Fania o Maciusiu nic a nic. Ona wyrosła na pannę Fanny Bujnicką, „perłę okolicy”, a on...

Na wieczorze u hrabstwa W. Fania ujrzała raz między rojem czarnych fraków, białych gorsów, wąsów, bród, breloków²², binokli, młodego człowieka o opalanej twarzy, z czarną brodą, który zaintrygował ją nieco.

Zaintrygował ją, bo zdawało jej się, że go zna.

– Kto jest ten pan, taki wysoki? – szepnęła przyjaciółce swej, Mani Rossowskiej.

Mania Rossowska przypatrywała się bacznie młodzieńcowi, pokazywanemu przez Fanię i odrzekła:

– To coś nowego.

– Wiesz, że ja go znam jakoś.

– Ja go nigdy nie widziałam.

Proszę wystawić sobie zdziwienie Fani, gdy po chwili nieznajomy przedstawił się jej matce, a potem wraz z synem gospodarza domu zbliżył się ku niej.

– *Mademoiselle!* – zawołał syn gospodarza – *j'ai l'honneur de vous présenter monsieur Iwaszkiewicz, ingénieur*²³.

Fania zarumieniła się przeciw wszelkim prawidłom dobrego tonu, który nakazuje obojętność, i nie mogła się wstrzymać od dość głośnego objawu zdziwienia.

Po czym spojrzała ciekawie na towarzysza lat dziecińczych. Och! zmienił się bardzo! Dawniej był to sobie pocziwy i nieśmiały Maciuś, a teraz siedział koło niej mężczyzna, który więcej zdawał się badać ją, niż usiłował bawić. A mówił przy tym poważnie; nie odwoływał się do wspomnień z ogródka. Maciuś nie podobał się Fani.

Ale Fania za to podobała się Maciusiowi. Miała też same złote loki, też same błękitne, wesołe oczy, a obnażone ramiona trzymała tak ślicznie w rąbkach koronek, tiulu i gazy, że jakby dwa gołąbki bliźniacze zdawały się chcieć ulecieć z tych rąbków, by bujać swobodnie po powietrzu jak dawniej w ogródku.

Gdy pierwsze wrażenie minęło, to i Maciuś podobał się więcej Fani. Skończył szkołę centralną w Paryżu, był inżynierem, stał na czele jakiejś fabryki, rozmawiał swobodnie, a co nawet dziwnym zdawało się Fani, że słowa jego, choć równie w dobrym tonie, jak słowa innych panów – miały przecie pewien sens i znaczenie.

Odtąd widywali się stale.

A że w księdze wspomnień, którą każdy w mniej więcej głupi sposób zapisuje, najdłużej nie blednieją wspomnienia lat dziecińczych, przeto Iwaszkiewicz bywał u Bujnickich coraz to częściej i Fania wydawała mu się coraz miłszą.

Bywał więc często i kto wie, co by się było stało, gdyby nie to, że o Fanię zaczął się starać Złotopolski.

²² *brelok* – (z franc.) artystycznie wykonany drobiazg, przyczepiony jako ozdoba łańcuszka od zegarka.

²³ (franc.) Pani, mam zaszczyt przedstawić pana Iwaszkiewicza, inżyniera.

Ktokolwiek on tam sobie był ten Iwaszkiewicz, zawsze był to Iwaszkiewicz, nie Złotopolski. Owo papiery jego spadły głęboko w oczach szczególnie pani Bujnickiej. On chodził piechotą, a Złotopolski jeździł powozem; on był fabrykant, czy tam coś, a Złotopolski obywatel wiejski; Złotopolski miał konia wierzchowego, a on nie; Złotopolski miał grooma²⁴ w obcisłych ineksprymablach²⁵ z perłowymi guzikami po bokach, a on nie miał grooma w obcisłych ineksprymablach z perłowymi guzikami po bokach.

– Jednakowoż, dziwna rzecz – mawiała pani Bujnicka – ten Iwaszkiewicz, podobno, ma znaczne dochody; mógłby mieć to wszystko, co ma Złotopolski, a jednak... ale nie! jemu właśnie brak tych instynktów, które w Złotopolskim są wrodzone.

I proszę też posadzać wielki świat o interesowność. Miło nam stanąć w jego obronie: Pani Bujnicka wiedziała, że Iwaszkiewicz ma nawet większe dochody niż Złotopolski, a jednak bez wahania oddała pierwszeństwo ostatniemu, i nawet rzekła kiedyś do córki:

– Faniu, na miłość Boga! nie pozwalaj Iwaszkiewiczowi poufalić się ze sobą.

Fania podniosła na matkę błękitne oczy.

– *Soyez tranquille chère mère!*²⁶

– Ja wiem, że przecie o nim nie myślisz, ale nawet i stosunki zażyłości z takim człowiekiem, to już rzecz trochę kompromitująca.

Papiery Iwaszkiewicza doszły do *minimum*²⁷. Przyjmowano go odtąd tak zimno, że na dobrą sprawę powinien był po prostu pójść do stu... kropek i nie bywać więcej, ale on mimo to bywał, bo każdy człowiek ma jakąś achillesową piętę²⁸, a w Iwaszkiewiczzu tą piętą był niewymowny pociąg do błękitnych oczów Fani.

Złotopolski nie uważał go nawet za współzawodnika.

– Ot, jakiś *parvenu*²⁹, który wcisnął się do gramundu³⁰ – mawiał o nim.

„Gramund” znaczy w ucywilizowanym polskim języku: wielki świat.

Iwaszkiewicz za to uważał Złotopolskiego za współzawodnika i zapewne dlatego śmiał twierdzić, że brak mu piątej klepki.

Ale Złotopolski zwyciężał Iwaszkiewicza.

Zwyciężał przynajmniej dopóty, dopóki wieść się nie rozeszła po gramundzie, że na hipotece³¹ Złotopola jest przynajmniej tyle długów, co snopów na jego łąnach. Niejedna matka z wielkiego świata pokręciła wtedy głowę.

– Ten poczciwy i kochany Jaś! – mówiono – z nim podobno bardzo ciężko, a to taki miły chłopak i w takim dobrym duchu.

²⁴ *groom* – (czyt. grum; ang.) chłopiec stajenny zajęty przy koniach wierzchowych.

²⁵ *ineksprymable* – (z franc.) dosłownie: niewymowne; tu: spodnie.

²⁶ (franc.) Bądź spokojna droga mamo.

²⁷ *minimum* – (łac.) najniższa wartość, poziom.

²⁸ *achillesowa pięta* – Achilles, bohater wojny trojańskiej, według Homera został przez matkę swą Tetydę wykąpany w Styksie, świętej rzece bogów, co miało go uczynić odpornym na zmęczenie i rany. Lecz zanurzając syna w wodzie Tetyda trzymała go za piętę i w to miejsce, nieobmyte wodą Styksu, Achilles został śmiertelnie ranny. W przenośni pięta achillesowa oznacza jakąś słabą stronę człowieka.

²⁹ *parvenu* – (czyt. parwniu; franc.) tu: parwienus, człowiek uważany przez arystokrację za kogoś niższego stanem. Tak traktowano każdego „dorobkiewicza”, który nie pochodząc z arystokracji pragnął znaleźć się w jej kręgu.

³⁰ *gramund* – (z franc.: *le grand monde*) arystokracja.

³¹ *hipoteka* – (z grec.) instytucja prawna zabezpieczająca prawa własności do posiadanej nieruchomości; długi zaciągnięte pod zastaw nieruchomości obciążają hipotekę i ograniczają prawa właściciela.

Taż sama wieść rozniosła jednocześnie, że Iwaszkiewicz z zarządzającego przeszedł na współwłaściciela fabryki machin.

Gdy doszło to z kolei i do Bujnickich, matka weszła z poważną twarzą do pokoju córki.

– Na Złotopolu pełno długów – rzekła.

– Skąd mama wie?

– To już każdy wie.

Panienska milczała zaszępiła.

– Cóż mama każe teraz robić?

– Złotopolski odprawił, podobno, grooma w obcisłych ineksprymablach z perłowymi guzikami po bokach.

– Tego już tylko brakowało.

– To może jeszcze nieprawda. Ale! wiesz, com słyszała?

– Cóż można było gorszego słyszeć?

– To już co innego: że Iwaszkiewicz pochodzi ze szlachty... szkockiej.

– On nawet i nazwisko ma trochę szkockie.

– No! to znowu... nie, ale familia³² mogła się przezwąć! Przyznaj, Faniu, że ty masz pewien „feblik”³³ do tego Iwaszkiewicza.

– Jak tam mama uważa.

– Pocziwe dziecko!

Papiery Iwaszkiewicza skoczyły nagle w górę.

Bo też interesa Bujnickich zaczynały iść na dół. Pan Bujnicki, który mieszkał na wsi i który w ciągu mozolnego swego żywota był generalnym dostawcą pani Bujnickiej, ocieżał jakoś na starość, czy co? i zaniedbywał się coraz bardziej w dostawach. On mawiał, że nie może nastarczyć, że robi długi. Jakoż trudno mu było nie wierzyć, a raczej łatwo się było przekonać, że robił długi. Pocieszali się tylko tym państwo Bujniccy, że i co do długów nie pozostali za całym obywatelstwem.

Ale papiery Iwaszkiewicza szły przez to coraz bardziej w górę.

A kiedy jeszcze gruchnęło między ludźmi, że Złotopolski wyjeżdża do siebie na wieś, co było, jak sądzono, oznaką czegoś niedobrego, papiery inżyniera doszły do *maximum*³⁴.

I właśnie widzimy go w tej chwili, siedzącego u państwa Bujnickich i rozmawiającego z matką i panną. On spogląda często na „perłę okolicy”, która zdaje się być zamyśloną i poważną.

– Więc i pan słyszał, że Złotopolski wyjeżdża do siebie na wieś? – pyta pani Bujnicka.

– Tak – odpowiada inżynier.

– Ciekawam, co go powoduje?

– Konieczność zapewne.

– I prędko będzie z powrotem?

– Zdaje się, że nie prędko. Mówił mi Maszko, że zaprosił jego i kilku z młodzieży swojej sfery na obiad do Złotopola. Maszko nazwał obiad ten pożegnalnym.

Pani Bujnicka spogląda niespokojnie na córkę.

– Być może, że przyjdzie pożegnać się z paniami – mówi inżynier.

– Może być – odpowiada obojętnie Fania.

– A kto wie – odpowiada ze znaczącym uśmiechem pani Bujnicka – może właśnie dlatego, że wyjeżdża, nie przyjdzie. *Vous savez...*³⁵ są takie położenia, w których, choć kto wyjeżdża, nie przychodzi jednak...

³² *familia* – (łac.) rodzina.

³³ *feblik* – (z franc.) skłonność, słabostka.

³⁴ *maximum* – (łac.) najwięcej, najwyższa wartość, ilość, stopień.

Z oczu inżyniera strzelił nagle radosny promień, tym bardziej że zdawało mu się, że na słowa matki Frania uśmiechnęła się z przymusem, a nawet policzki jej powlekł lekki rumieniec.

– Dała mu odkosza. Teraz rozumiem wszystko! – pomyślał.

– Darujcie, moi młodzi państwo, że na chwilę zostawię was samych, ale mam coś powiedzieć służbie. *Pardon monsieur!*³⁶ Faniu, dotrzyмай tu panu towarzystwa.

Na twarzy Iwaszkiewicza nie było znać, by się obrażał tym, że pani Bujnicka zostawia go samego z Fanią. A pani Bujnicka rzeczywiście wyszła na chwilę i spotkawszy służącego rzekła:

– Jeśli tu przyjdzie pan Złotopolski, powiedz, że przyjmujemy za godzinę.

Pani Bujnicka nie chciała istotnie, żeby Złotopolski przyszedł przy Iwaszkiewiczu.

Tymczasem Iwaszkiewicz siedział sam na sam z Fanią w salonie. Milczeli przez chwilę oboje, wreszcie Iwaszkiewicz poruszył się niespokojnie i rzekł:

– Towarzystwo straci zapewne wiele na wyjeździe pana Złotopolskiego.

Z kwaśnej miny inżyniera można by sądzić, że zapewne chciał powiedzieć coś innego, ale to jakoś tak samo mu się wymówiło.

– Tak pan sądzi? – spytała Fanny.

– Ja? o nie, pani! ja myślałem, że może pani tak sądzi?

– Niech mi pan wierzy, że w tej chwili myślałam zupełnie o czym innym. Ja myślałam o naszym ogródku dzieciennym. Pamięta pan nasz ogródek?

– Jeżeli kto z nas dwojga go zapomniał, to nie ja.

Fania spuściła oczy.

– I nie ja... także...

– Pani! – rzekł Iwaszkiewicz – dziękuję z całego serca za te słowa. Ja nie trwonię ich nigdy na próżno, i nie przypuszczam, żebyś i pani mówiła je bez poczucia prawdy.

– Czy ja panu co złego kiedy zrobiłam, że pan mnie sądzi tak surowo?

– Ja?

– Wiem – mówiła dalej ze smutkiem w głosie. – Pan przy swoim rozumie uważa mnie za próżną i popsutą dziewczynę światową, pan nie wierzy, że ja mogę coś szczerze mówić, a jednak...

W niebieskich oczach Fanny błysnęło coś na kształt łez.

– A jednak mam jeszcze kilka kwiatków zasuszonych naszego ogródka... ale ja jestem próżna i popsuta dziewczyna światowa? ja nie umiem pamiętać? Prawda?

– Nie, pani, to ja nie śmiałem się spodziewać, że pani pamięta.

– I dlatego nie spytał pan nigdy o to?

– Dlatego. Bałem się spytać, bo nadto cenilem te wspomnienia. Tak jest, bałem się, byś pani nie rozwiła ich jednym obojętnym uśmiechem.

– Mój Boże! Tyle mówią o pańskiej energii, a pan taki nieśmiały. Czy to tylko ze mną?

– Tylko z panią.

– A przecież my się znamy od tych czasów, kiedy jeszcze pan mi mówił... jak to tu teraz nawet powiedzieć?... kiedy pan mi mówił: „Faniu”.

– O, pani! jeśli to żarty, to złe żarty...

– Jakie przystoją zepsutej, światowej dziewczynie? Ha, jeżeli tak, to dajmy temu pokój. Może pan woli o czym innym mówić. Otóż i mama przychodzi! Dużo pan ma zajęć w swojej fabryce?

³⁵ *Vous savez* – (czyt. mu sawé; franc.) Wie pan.

³⁶ *Pardon monsieur* – (czyt. pardą mesię; franc.) Przepraszam pana.

Pani Bujnicka weszła tymczasem do pokoju i rzuciwszy przenikliwym wzrokiem na Fanię spytała łaskawie:

- O czymże to państwo rozprawiacie? o fabryce?
- Tak, łaskawa pani! właśnie mówiliśmy o fabryce.
- Musi to jednak być panu przykro siedzieć od rana do wieczora między robotnikami?
- Nie, pani.
- A jednak są to ludzie bez wychowania; wystawiam sobie, jak straszne muszą mieć maniery.
- Iwaskiewicz uśmiechnął się.
- Przy młotach i ogniskach, buchających skrami, mają wcale odpowiednie.
- Trudno jednakże podobać sobie w takich zajęciach.
- Ja tam miłuję je z całej duszy. Przy czym (tu oczy Iwaskiewicza ożywiły się) robię teraz wielką próbę, która jeżeli się uda...
- Przyniesie panu wielkie dochody?
- To może nie. Jest to rzecz inna. Pragnę usunąć wszystkich ludzi obcych z fabryki, a mieć robotników swoich, tuziemców. Przez to mam nadzieję wszczepiać powoli między nas zamiłowanie przemysłu. A u nas potrzeba podnosić przemysł.
- Jednak słyszałam bardzo dystygowanych³⁷ ludzi mówiących, że przemysł nie zgadza się z naszym charakterem.
- Często i dystygowani ludzie mówią absurda³⁸.
- Tak pan sądzi?
- Szczerze tak sądzę. Nie przeczę, że z natury kraju rola zawsze będzie stanowiła główne zajęcie większości, ale i gospodarstwo rolne nie powinno ograniczać się produkcją surowych materiałów; ono albo musi stać się przemysłowym... albo wyjść z naszych rąk.
- Mówiono mi, że gospodarstwo przemysłowe potrzebuje znacznych kapitałów.
- Bez kwestii.
- Skądże ich wziąć?
- Z rozumnej pracy, której więcej nam brak niż kapitałów.

III

Na Złotopolu gwarno, zgiełkliwie i wesoło. Zjechał pan, a z panem i inni panowie. Przyjechali także z Prus panowie Szulce, Miller, Mitke, Jausch, Wiseman, pełnomocnicy kolonistów. Układy idą żywo i dość szybko posuwają się naprzód. Raz wraz przyszli dziedzice Złotopola chodzą od rządcy, u którego stanęli, do dworu, gdzie stoi pan z innymi panami. I koloniści radują się spoglądając, jak wiatr chwieje zbożem na łąkach mazowieckich, i młody dziedzic z zadowoleniem obserwuje ładowne kieszenie panów Szulce, Millera, Jauscha *et comp*³⁹. Po wsi tylko strach przyszłych sąsiadów, ale co komu do tego? Zbierają się gromadki gospo-

³⁷ *dystygowany*. – (z łac.) odznaczający się wytwornością form towarzyskich.

³⁸ *absurd* – (z łac.) niedorzeczność, głupstwo.

³⁹ *et comp*. – (franc. – *et compagnie*, czyt. e kompani) i spółka.

darzy i radzą. Wolno im radzić, niech każdy myśli o sobie. Ożyło całe Złotopole i jeszcze piękniejsze wydaje się niż zwykle. I to dobra nowina! im Złotopole piękniej się wyda, tym Niemcy więcej za Złotopole dadzą.

Prócz chłopów wszyscy kontenci. Pan Maszko rozplywa się z radości, bo oto ksiązę Antoś, który ma także majątek do rozkolonizowania, chodzi z nim pod rękę lub klepie go po ramieniu i mówi mu: „*cher ami*”⁴⁰, a pan Maszko nazywa go z kolei swoim pocziwym Antosiem. Jaś Złotopolski każe nakrywać do obiadku, a Miś przygotowuje *speech*, który powie przy pierwszym zdrowiu.

– Jasiu! Jasiu! – woła wreszcie ksiązę Antoś – widziałeś swoją Fanny przed odjazdem?

– Nie, nie widziałem; chcę jej zrobić niespodziankę.

– Ucieszy się mała! – wtrąca Maszko.

– Spodziewam się – odpowiada Złotopolski. – Ma ona dosyć na to rozumu.

– O to najmniejsza! – przerywa ksiązę Antoś – ale ładna kanalikka. Ja tam nie uważam na rozum w kobiecie!

Pan Maszko parska śmiechem z całej duszy; on jest tegoż samego zdania, ale nie umiałby się tak dosadnie wyrazić.

– Nie! wiecie panowie – woła pan Maszko – że ten Antoś jest tak wyborny, że ha! ha! ha! uważaliście, jak on to powiedział: „Ja tam nie uważam na rozum w kobiecie!”

– Ależ, kochany Maszko! każdemu może się trafić powiedzieć coś dowcipnego – mówi skromnie ksiązę Antoś.

– Nie, nie, nie każdemu!

Tymczasem Miś Rossowski zbliża się i usłyszawszy o co chodzi mówi:

– Co się tyczy Fanny, to ja wiem, że ona może się liczyć nawet do bardzo wykształconych. Ja wam za to zaręczam.

– A z czegoś to poznał? – pyta Złotopolski.

– Z czegom poznał? Na własne oczy widziałem, jak u Wici Zdzierzyckiej, która, jak wiecie, chce uchodzić za uczoną, Fanny trzymała w ręku książkę z filozofią Hegla⁴¹.

– No i cóż?

– I cóż? I zobaczywszy, że to Hegel, powiada: „a!” a prosta rzecz, że gdyby nie słyszała o Heglu, to by nie powiedziała: „a!”

– Trzeba było powiedzieć: „b!” – mówi ksiązę Antoś – to i ty byś uchodził za uczonego.

Tu już pan Maszko bucha takim śmiechem, że pęka mu spinka przy kołnierzyku, a Miś Rossowski odpowiada:

– Nie puszczaj się, drogi Antosiu, na alfabet, bo wątpię, czy dociągniesz do końca.

– *Ma foi!*⁴² i ja wątpię. Jasiu, chodźmy na obiad. Misiu, gotuj *speech!*

Jakoż przechodzą wszyscy do sali jadalnej, z której ścian spoglądają na nich wąsate, groźne twarze dawnych Złotopolskich. Maszko spogląda na nich jak lis na winogrona. Wszyscy siadają do stołu.

– A cóż twoi Niemcy? – pyta Miś.

– Spodziewam się, że nie z nami – odpowiada Jaś. – Sprowadziłem im bajryszu⁴³, który piją teraz u rządu.

⁴⁰ *cher ami* – (czyt. szerami; franc.) drogi przyjacielu.

⁴¹ J. W. F. H e g e l (1770–1831), filozof niemiecki, przedstawiciel filozofii idealistycznej, który sformułował podstawowe cechy dialektyki. „Marks i Engels wyłuskali z dialektyki Hegla tylko jej »racjonalne jądro« odrzucając Heglowską, idealistyczną skorupę... by nadać jej współczesny charakter naukowy”.

⁴² *ma foi!* – (czyt. ma fuá; franc.) słowo daję! dalibóg!

⁴³ *bajrysz* – (z niem.) piwo bawarskie.

– Ależ mają, bo mają talarki.

– Któż by je miał? to tylko na nas takie ciężkie czasy, że niedługo nie będziemy mieli co do ust włożyć! Antosiu, porteru czy piwa angielskiego?... Doskonałe!... Misiu, jakie wino pijasz po zupie?

– No a mój *speech*?

– Powiesz przy mumie⁴⁴. Tak, moi panowie! ciężkie teraz czasy i musimy się diabło ograniczać.

– Kolonizacja, to jedyny nasz ratunek.

– Niech żyje kolonizacja!

– Kolonizujmy, parcelujmy! Niech żyje kolonizacja!

– Panowie! tylko nie unośmy się – mówi Miś. – Prawdziwi gentlemani nie unoszą się przed bifsztukiem⁴⁵. Tak jest przyjęte.

– Yes! yes! Tymczasem podają bifsztuk, po którym nawet ludziom najlepszego tonu wolno być wesołymi, a zarazem przynoszą muma, który ma własność rozweselania ludzi wszystkich tonów. Książę Antoś spogląda pod światło na szumiące perelki złotego napoju, potem wstaje i woła:

– Zdrowie gospodarza!

– Zdrowie gospodarza! – powtarza pan Maszko.

– Obyśmy dożyli lepszych czasów!

– Obyśmy dożyli lepszych czasów! – powtarza Maszko,

– Cicho! – woła Miś.

Wszyscy siadają. Miś pozostaje stojący i trzymając kieliszek mówi:

– Panowie, mówię poważnie, bo *speech* powinno się mówić poważnie.

Zebraliśmy się tu, aby odpocząć po pracy i trudach, jakie dla dobra naszego ogółu ponosimy w stolicy. Wprawdzie i tam mową i drukiem, z pomocą pism, zarzucają nam, że nie robimy nic a nic – ja protestuję („I ja!” woła Maszko). Maszko nie przerywaj! Ja protestuję! – My to nawet w dzisiejszych ciężkich czasach utrzymujemy godność naszego ogółu. Pytam: dlaczego? A któż ożywia wyższe towarzystwa? Kto stanowi prawa dobrego tonu? kto utrzymuje *polor*⁴⁶ towarzyski, kto dyktuje prawa szyku? – My! Gdyby nas nie było, nie byłoby tego, co nazywamy wyższym towarzystwem, a wszakże Anglia ma swoich lordów, Francja swoją noblesse, Niemcy swoich baronów. My utrzymujemy tę równowagę u nas. Jest to porządek natury. Kto nie wierzy, niech spojrzy na konie i barany. Są między końmi szkapy chłopskie i folbluty⁴⁷, są między baranami zwykle i merynosy⁴⁸. Sama natura tak postanowiła, sama natura i nas postawiła na czele ogółu. My to bowiem jesteśmy końmi folblut, my jesteśmy baranami z rasy merynos! (Brawo! brawo!). Nie przerywajcie! A teraz, panowie! jeżeli słowa moje trafiają do waszego rozumu, kto sprawił, że możecie ich słuchać? – Złotopolski. Kto przez kolonizację daje nam przykład, jak powrócić owe dobre czasy, gdy ludzie jak my nie mieli długów? – Złotopolski. A przy tym on jest tak dobrym folblutem, tak dobrym baranem merynos jak każdy z nas. Panowie! Sądzę przeto, że ów *gentleman* zasługuje, aby mu wykrzyknąć: hip! hip! Zatem hip! hip! Jeszcze raz: hip! hip! (Maszko krzyczysz jak Mazur, nie Anglik!) hurra! hurra!

Jaś Złotopolski dziękuje towarzyszom trącając się z nimi kolejno.

⁴⁴ *mum* – wino musujące, szampan francuskiej firmy.

⁴⁵ *bifsztuk* – (z ang.) befsztuk – specjalnie przyrządzone mięso wołowe.

⁴⁶ *polor* – (z łac.) gładkość, ogłada, grzeczność.

⁴⁷ *folblut* – (z niem.) koń pełnej krwi (rasowy).

⁴⁸ *merynos* – (z hiszp.) owca rasy hiszpańskiej.

On wie, że każdy może pójść jego śladem i nie widzi w swoim postępku nic godnego uwielbienia. Przecież kolonistów nie zabraknie.

– Panowie! nie przeceniajmy się wzajemnie! Wreszcie po kilku jeszcze zdrowiach obiadek się kończy.

– Teraz kawa, cygara i przechadzka – mówi gospodarz.

Jak miło jest na wsi, po dobrym obiedzie i po kawie, pójść jesienią na przechadzkę, gdy na dworze skrzy się pogoda, liść nie szemrze, a w ulewie promieni słonecznych pływają białe nitki pajęczyny. Tak cicho i spokojnie płyną one włókienka z przędzy Matki Boskiej, jako żywot szlachcica polskiego bez skazy na sumieniu, bez długów na hipotece. Jesień polska, gdy się uśmiechnie, to chociaż rzewnie jakoś, ano już tak pocziwie i serdecznie, że z duszą i sercem kupi cię takim uśmiechem. Weszło wtedy i radośnie wiejskiemu człowiekowi. Przyszedł czas spocząć po pracy; chlebny czas, zbożny czas! W rżyskach krzyczą z wielką wrzawą koniki polne, a na ugorze pastuch, choć zbył już fujary, ale i bez fujary zawodzi całą duszą pieśń wiejską:

„Rozbijały się siwe łabędzie po wodzie!”

Młodzi panowie w Złotopolu byli w doskonałych humorach: właśnie zjedli wyborny obiad, byli po kawie; czas był pogodny, pełen słońca, pajęczyny, wrzawy koników i pieśni wiejskich.

Z cygarami w ustach panowie wyszli do ogrodu we dwie pary, Miś ze Złotopolskim, a księżę Antoś z Maszką. Księżę Antoś twarz miał trochę czerwoną, mocno śmiejące się oczy, trochę dymiącą czuprynę i trochę niepewne nogi.

– Ja-siu ko-chany! śliczne to twoje Złotopole, jak mi honor miły – mówił zwracając się do gospodarza.

Rzeczywiście Złotopole ślicznie wyglądało i z bliska i z daleka. Pałac pański prawdziwie wygodny; za pałacem ogród gracowany w ulice, szumiący odwiecznymi drzewami; za drzewami szeroka i ogromna szyba wody, młyn, tartak, grobla sadzona jarzębiną, po bokach, jak okiem dojrzał, łąny mazowieckie – i na końcu widnokregu okrawek lasu, czarna szumiąca choina.

– Śliczne to twoje Złotopole! – powtórzył księżę Antoś. – W którą stronę pójdziemy?

– Chodźmy na okop szwedzki; stamtąd piękny widok.

– Gdzie to jest?

– A za ogrodem, niedaleko stawu.

Panowie przeszedłszy z pół wiorsty wyszli z ogrodu i wkrótce ujrzeni porośły wrzosem i chwastem wysoki nasyp ziemny, z którego istotnie otwierał się rozległy widok na okolicę.

– To tu? – spytał Miś. – A istotnie ładny stąd widok.

– To okop szwedzki.

– Skąd się tu wziął?

– Jeszcze od wojen szwedzkich. Tu podobno bronił się mój prapradziad Karolowi XII.

– Ehe! to tu była bitwa?

– Tak. Tu tylko ziemię poruszyć, zaraz natrafisz na kości.

– Ho! ho!

– A no, patrz! – zawołał nagle księżę Antoś – ot czaszka! Istotnie, w dołku wypłukanym od deszczów, na podścielisku wrzosów, leżała poźółkła od czasu czaszka; słońce oblewało promieniami ten czerep zapewne jakiego sodalisa⁴⁹, który tu ongi gardło dał, chwając imię Marii i mękę krwawego Chrystusa. Czerep spoglądał pustymi jamami oczu i na Jasia Złotopolskiego i na Misia Rossowskiego i na księcia Antosia. Rozwalona widocznie mieczem lub toporem kość ciemieniowa okazywała czarne wnętrze pełne ziemi i zielska.

⁴⁹ *sodalıs* – (łac.) towarzysz, członek bractwa; tu w znaczeniu towarzysza broni.

– *Après dîner c'est un peu dégoûtant*⁵⁰ – zauważył Maszko.

Jaś Złotopolski uśmiechnął się.

– Ciekawym, co Niemcy zrobią z kośćmi, które tu znajdują. Ale? (tu Złotopolski zwrócił się do Maszki), czy okop objęty pomiarami, czy mój?

– *Nein, nein!*⁵¹ to nasz ma być! – zawołał nagle jakiś basowy głos za plecami Jasia.

Był to głos pana Jauscha, który stał obok pana Wiseman i obcierał z potu ogromne i czerwone oblicze. Pan Jausch i pan Wiseman, trzymając w rękach porcelanowe fajki, poważnie poglądali na okop i na panów, stojących na okopie. Pan Jausch był otyły, pan Wiseman chudy, ale obaj mieli czerwone chustki na szyjach i długie kamizelki z świecącymi guzikami. Pan Jausch pogładził ręką podbródek i powtórzył:

– Mi przyszli tu szpaciren, ale to ma bicz nasz ten wal.

Po czym oba z panem Wiseman wdrapali się na nasyp.

– A cóż wy z tym będziecie robili? – spytał ksiązę Antoś.

– Mi nie tacy głupi, aby pozwolili się marnować takiemu dobry plac – tu będzie ogórki kwitnąć.

– To cmentarzysko dawne, tu pełno kości.

– To nie szkodzi! to kości pójdzie precz, a tu będzie ogórki kwitnąć.

– Musicie lubić ogórki?

– Lubi! lubi! o!... – zawołał pan Jausch, spostrzegłszy czaszkę – prawda, że tu jest kości, *aber*⁵² to będzie z nimi tak!

Tu pan Jausch kopnął silnie czaszkę sodalisa, która jęknawszy echem potoczyła się na dół między wrzosa.

– Ha! ha! ha! twarda polska głowa. Tu będzie ogórek kwitnąć.

Zaśmiał się serdecznie pan Jausch, a pan Wiseman zaśmiał się jeszcze serdeczniej.

Złotopolskiemu nagle krew uderzyła do głowy, a oczy zaświeciły jak węgle. Chwila jeszcze, a i pan Jausch byłby stoczył się z okopu w ślad za czaszką sodalisa, ale gospodarz zmiarkował się... Przecież ci koloniści dlatego przyjechali, żeby ratować szlachcica wiejskiego – przecie ich Pan Bóg na to stworzył. Kiedy ratują żywych, niech sobie kopią umarłych. *Honny soit qui mal y pense!*⁵³

Panowie wrócili do domu, ale w domu czekała ich nowa niespodzianka. Starsi z gromady złotopolskiej przyszli z interesem do pana, trzeba było ich przyjąć.

Jaś z resztą towarzystwa wyszedł na ganek; chłopci zbliżyli się ku niemu.

– A czego to chcecie? – spytał.

– Niech będzie pochwalony!

– Na wieki. Czego chcecie?

Stary jeden gospodarz skłonił się i począł mówić w imieniu reszty:

– Myśwa przyszli, bośwa słyszeli, że jaśnie pan sprzedaje Złotopole kolonistom.

– A sprzedaje, ale wam co do tego? wy macie swoje grunta, ja mam swoje.

– Nie można rzec! ale myśwa przyszli prosić, żeby jaśnie pan nie sprzedawał Złotopola. Tu nasi ojcowie pracowali, tu i jasnego pana ojciec żył i pomer, myśwa tu zawsze byli swoi, a z kolonistami nie dojdziemy do ładu. Z nimi nikt nie trafi do ładu; my się ich boiwa; my przy kolonistach zmarniejemy do szczętu. Niech jaśnie pan nie sprzedaje Złotopola. To mazurska ziemia, nie kolonistów. Jak pan z Brzeźnicy ich puścił, to i jemu teraz bieda i gospodarzom bieda. My wolimy, żeby pan dworskie grunta trzymał niż koloniści.

⁵⁰ (franc.) Po obiedzie to jest niesmaczne.

⁵¹ *nein* – (niem.) nie.

⁵² *aber* – (niem.) ale.

⁵³ (franc.) Hańba temu, kto o tym źle myśli! (hasło angielskiego orderu podwiązki, inaczej orderu św. Jerzego, ustanowionego przez, Edwarda III w r. 1350).

- Tak mię kochacie, czy co?
- Ee! prawdę rzec, my jaśnie pana nie znamy, ino się boiwa kolonistów. Ono my rozumiewa, że to teraz czasy takie czy co, że każdy pan potrzebuje pieniędzy, ale my byśwa chcieli jako zaradzić, żeby jaśnie pan dostał pieniędzy i nie sprzedawał Złotopola. Ono tu nigdy żadnych kolonistów nie bywało. Ojciec jaśnie pana siedział z nami na roli i byliśwa swoi.
- Jakże to chcecie zaradzić? – spytał Maszko.
- A my byśwa kupili krzynę lasu za to, cośwa się złożyli, ino żeby tych poganów tu nie bywało.
- Moi kochani! – przerwał Złotopolski – mnie wasza krzyna lasu nic nie znaczy, a jakem postanowił rozkolonizować Złotopole, tak i zrobię. Nie trzeba było oto szkód robić, a zboża wypasać, a okradać mnie na wszystkie strony, to bym nie sprzedawał Złotopola.
- Nie kradliśwa, jaśnie panie, nigdy i nie będziemy – odezwał się jeden z gromady.
- A nie mówił mi to rządca o szkodach?
- Szkoła szkoda, ale nie kradliśwa.
- Niby to nie wszystko jedno?
- Juści nie, jaśnie panie; myśwa pieniędzy nie kradli, a jak tam który niecnota wypasł koniczynę, albo wzion zboża z pola, no to wzion, nie ukradł.
- Książę Antoś wziął się aż pod boki ze śmiechu.
- Człeku, bój się Boga! to przecie jedno.
- Nie, jaśnie panie, złodziej to taki, co pieniądze kradnie.
- Szczególna filozofia – zauważył Maszko.
- Jasiu! – zawołał książę Antoś – jutro rozmówicie się w Złotopolu, a teraz temu każ dać wódki i niech zostanie, a reszta niech sobie idzie do diabła. Poczekajno, mój człowieku, dostaniesz wódki, boś zuch! ale powiedz mi jeszcze, czy ksiądz wasz nic wam o tym nie mówił, że jak kto „wzion”, to to samo jakby ukradł?
- Chłop widocznie nie miał ochoty do gawędy; na twarzy znać mu było frasunek; ale już to może wódka, już to nadzieja przemówienia jeszcze raz w interesie gromady, skłoniła go do odpowiedzi:
- Jegomość nie mówili o tym nic.
- No, a o czym jegomość mówili?
- Ee! bo to trudno spamiętać.
- Jasiu, każ mu jeszcze dać wódki. A no, przecie musicie pamiętać, co jegomość mówili?
- Ono przeszłej niedzieli to jegomość narzekali na mularzy⁵⁴ chyba, czy co?
- Jasiu, daj mu jeszcze kieliszek! Na kogo? na kogo?
- Na mularzy. U nas jest tylko jeden, karbowego Podysioka syn, ale on przysięgał się, że o niczym nie słyszał.
- A o czym że miał słyszeć?
- Ano, że mularze chcieli pono Ojca Świętego prochem wysadzić, niby ze dworca, gdzie mieszka, ale w nocy przyszło od Pana Jezusa pisanie do Ojca Świętego, żeby się pilnował.
- Aa! jestem w domu – zawołał Maszko. – Czy to nie o wolno-mularzach jegomość mówił.
- A ino, ino, ino!
- *Ma foi!* – zawołał książę Antoś – doskonale się ubawił. No, idź już sobie, mój człowieku! Ale gospodarz zwrócił się do Złotopolskiego.
- Jaśnie panie, a ze Złotopolem jak będzie?
- Nie nudźcie mnie już wszyscy razem i idźcie do diabła, raz powiedziałem.
- Ha! to trzeba iść. Niech panu Bóg nie pamięta. My głupi ludzie jesteśwa, ale my rozumiewa, że to jakoś niedobrze dzieje się teraz między panami.

⁵⁴ *mularze, wolnomularze* – członkowie masonerii.

Panowie znów zostali sami.

– Czy rzeczywiście takie szkody ci robią? – spytał Złotopolskiego Miś Rossowski.

– *Mais parole d'honneur!*⁵⁵ i nie tylko mnie, ale wszędzie.

– No, to dlaczego raz im tego księży nie wytłumaczą? – przerwał księżę Antoś.

– Bo mają co lepszego do tłumaczenia – odpowiedział Miś. – Dziwię się, mój Antosiu, że nie rozumiesz tego. W dzisiejszych czasach są kwestie ważniejsze i obchodzące bardziej ludzi w dobrym duchu. Wstydź się, Antosiu, tego nie rozumieć.

Księżę Antoś się obraził.

– Wiedzą ludzie i bez tego kto jestem.

– Dajcie-no pokój – rzekł Złotopolski. – Ot, zmęczyłem się już tymi ciągłymi sprawami; Wiecie co, robimy pulkę dla zabicia czasu. Czas to pieniądze.

– Doskonale zastosowane! – woła Maszko.

– Nigdzie tyle, ile przy grze nie sprawdza się, że czas to pieniądze

IV

Nazajutrz była niedziela, młodzi panowie pojechali więc do kościoła. Po całej okolicy rozbiegła się już była wieść o tym, że w Złotopolu bawi nie tylko gospodarz, ale i kilku z młodzieży najwyższego towarzystwa. Dlatego w kościele zjazd był liczniejszy niż zwykle. Każdy ciekawy był widzieć szczególnie księcia Antosia. Cała okolica była po prostu dumna z jego obecności. Sąsiedzi Złotopola, mający córki na wydaniu, długo biedzili się i rozprawiali, czy wypada powitać go mową, czy nie. Stało, że wypada. Pan Sidorowicz, właściciel Drżącej, pogniwał się nawet z panem Feliksowiczem, właścicielem Mszczynowa, o to, jak się ta mówka powinna zaczynać. Pierwszy sądził, że najwłaściwiej będzie zacząć od;

„Są chwile w życiu” – drugi uważał taki początek za „trywialny” i proponował: „gdy na horyzoncie księżyc zajaśnieje”. Wiele z tego powodu było kłopotów, bo przy tym żaden z tych panów nie chciał ustąpić drugiemu w tym, kto będzie miał mowę. Jeszcze więcej były wzruszone panie. Dla okolicy bytność takiego księcia Antosia wydawała się faktem niezwykłym, albowiem w całym powiecie, prócz Złotopolskiego, siedziała szlachta jednowioskowa, a nawet i Złotopolski hrabia nie był, co mu poczytywano za złe w niektórych kółkach. Ruch tedy panował wszędzie. Pani Zwiernicka, właścicielka Okopcina, naprzód wystawiała sobie, jaki to musi być miły ten *prince Antoine*⁵⁶; ona już dziś (czemu sama się dziwi), choć nigdy go nie widziała, czuje do niego szczególną sympatię i ręczy, że przecucie jej nie zawiedzie. Również i panny Słomińskie spierające się zwykle o to, która ma najmniej ciała, wiodą na rachunek księcia Antosia spór jeszcze zaciętszy. Najmłodsza zastrzega sobie nawet z góry, żeby siostry nie brały jej za złe, jeżeli księżę Antoś na nią najpierw zwróci uwagę, bo ona temu nie winna, że ma coś takiego szczególnego w twarzy, co ściąga na nią uwagę wszyskich. Są jednak i takie domy, które oświadczają, że im wszystko jedno, kto będzie na sumie w niedzielę, i jeśli wystąpią trochę uroczyściej niż zwykle, to wcale nie dla jakichś tam gości z Warszawy, ale dla honoru i dla pokazania, że: „fiu! fiu! z nami niełatwo!” Z tym wszystkim służba dostaje rozkaz, żeby wystąpić z liberią⁵⁷, końmi i powozami jak najporządniej.

⁵⁵ (franc.) Ależ słowo honoru!

⁵⁶ *prince Antoine* – (czyt. pręs Antuan; franc.) księżę Antoni.

⁵⁷ *liberia* – (z franc.) mundur służby w arystokratycznym domu.

– A niech mi się jeden z drugim nie dopilnuje – dodaje energicznie pan domu – to ja mu się nie „dopilnuję!”

Z drugiej strony w Złotopolu Miś Rossowski, „jedyne człowiek z taktem” i „dusza prawdziwego szyku”, jak go zwa w Warszawie, zaklina przyjaciół, żeby pomimo ciepła wziąć watowane angielskie paletoty, bo prawdziwy *gentleman* powinien być zawsze za ciepło ubrany, a przy tym powinien nawet i na wsi dawać wzór prawdziwego tonu.

– To jest naszym obowiązkiem – mówi Miś; niech każdy spełnia swoje posłannictwo, a kiedy Opatrzność postawiła nas jako wzór, bądźmyż prawdziwym wzorem.

Maszko robi uwagę, że dla pospolitej szlachty tacy ludzie jak oni – to jest Maszko i jego przyjaciele – nie mają żadnych obowiązków, ale Miś zbija go uwagę, że tacy ludzie jak oni już dla siebie samych mają pewne obowiązki, których nie mogą przekraczać.

Panowie ze Złotopola przybywają zatem do kościoła w angielskich paletotach, co spowoduje rumieniec wstydu na twarze tych z młodzieży wiejskiej, którzy mają letnie okrycia. Niektórzy z nich jednakże biorą za złe warszawskim elegantom te paletoty, uważając w tym chęć ubliżenia szlachcie, a nawet wynoszenia się ponad nią.

Mimo to oczy wszystkich skierowane są ku gościom z Warszawy, a uwaga tak dalece zajęta nimi, że nikt nawet nie słyszy głosu kaznodziei, który to głos jest jednakże tak silnym, że słusznie można by się obawiać o dachówki kościoła. Tym razem, ku większemu zbudowaniu chłopskich słuchaczy, spada z ambony Darwin⁵⁸. Mówca widzi go wyraźnie w chwili skonania, jak odwołuje swe pisma, wije się z boleści i ryczy wściekle. – Ów prawdopodobny ryk Darwina przejmuje słuchaczy taką zgrozą, że jedna z bab, ockniona właśnie z drzemki, woła na cały głos: „O kosteczki, one kosteczki nieszcześliwe!” – z czego znów trudno zrozumieć, czy nad darwinowskimi kosteczkami lituje się ta niewiasta.

Tego rodzaju kazania, o ile częste po wsiach, o tyle bywają pożyteczne. Chłopów ostrzegają przed Wolterem⁵⁹, masonami, Renanem⁶⁰, Darwinem, a nie-chłopom tłumaczą zarazem, dlaczego ciż chłopci twierdzą, że co innego jest „wzcion”, a co innego „ukradł”. Takimi lichymi sprawami, jak to słusznie zauważył Miś, nie warto się zajmować; daleko ważniejszym jest ostrzegać nieumiejących czytać przed „złymi” książkami, niż pilnować ich pojęć moralnych.

Ale wreszcie kończy się kazanie, a następnie i suma, po czym wszyscy wychodzą przed kościół. Tu mimo ostrzeżeń Misia, że parafiańszczyzną jest nie jechać natychmiast do domu, nie podobna tej parafiańszczyźnie uniknąć, ponieważ Złotopolskiego zatrzymują i witają znajomi. Następuje obustronna prezentacja, przy czym panowie z Warszawy lokują dłonie prawie tuż pod pachami i wyciągają palce, po które, wedle wyrażenia Misia, kto chce niech sięga. Jakoż szlachta sięga, a pan Sidorowicz z panem Feliksowiczem zbliżają się jednocześnie do księcia Antosia.

– Są chwile w życiu... – zaczyna pan Sidorowicz.

– Gdy na horyzoncie księżyc jaśnieje... – przerywa pan Feliksowicz.

– Przepraszam pana! nie o tym mowa.

– Bardzo pana przepraszam!

⁵⁸ Karol D a r w i n (1809–1882), wielki uczony angielski, przyrodnik, twórca teorii doboru naturalnego i ewolucji w świecie zwierzęcym.

⁵⁹ W o l t e r (Voltaire) – właściwe nazwisko Franciszek Maria Arouet (1694–1778), przedstawiciel filozofii Oświecenia, zakładającej, iż rozum ukształtowany na drodze doświadczeń jest jedyną miarą prawdy. Prócz dzieł filozoficznych Voltaire był autorem szeregu dzieł literackich.

⁶⁰ Ernest R e n a n (1823–1892), francuski myśliciel, racjonalista, autor popularnego dzieła *Życie Jezusa*, w którym poddaje krytyce boskie pochodzenie Chrystusa.

Tu obaj mówcy rozdymają nozdrza i spoglądają na siebie z wściekłością, a księżę Antoś na nich ze zdumieniem; szczęściem zbliża się proboszcz i zaprasza towarzystwo do siebie, dokąd i damy już przeszły.

Rzeczywiście, panowie zastają damy na plebanii. Po prezentacji pani Zwiernicka z Okopina rumieni się lekko i zwracając się do księcia Antosia mówi:

– Nigdy nie miałam szczęścia widzieć księcia, a jednak poznałam go od razu.

– Jakimże sposobem, szanowna pani?

– Znałam w Warszawie kilku członków pańskiej rodziny. Pan masz rysy zupełnie książąt M...skich... szczególnie nos!..

Księżę Antoś dotyka ręką tej szacownej części ciała, która zwróciła uwagę pani Zwiernickiej i odpowiada:

– O tak, pani! my w ogóle mamy nosy...

– Mające coś szczególnego – przerywa najmłodsza panna Słomińska. – Są pewne rysy, mające coś szczególnego – dodaje, spuszczając skromnie oczy.

– To zależy jak czyje – odpowiada pani Zwiernicka. – Jakże księciu podobała się nasza okolica.

– Prześliczna, *ma foi!* szczególnie płeć piękna; nie znajdzie sobie równej w całej Europie! A nawet, co mówię, w Europie? w całej Warszawie.

Ogólne rozradowanie. Panna Słomińska spogląda na księcia i uśmiecha się wstydliwie.

– *Charmant! délicieux!*⁶¹ – szepce w zachwyceniu pani Zwiernicka.

– Księżę zapewne stale Warszawę zaszczyca swoją bytnością? – pyta pani Sidorowicz.

– Owszem, szczególnie latem, zaszczytam i wieś – odpowiada naiwnie zapytany.

– Zapewne dla gospodarstwa, a raczej zarządu włości?

– O, nie! To rzecz mego rządcy; ja przyjeżdżam tylko czasem dla polowania i krokietu⁶². Czy w tej okolicy znają krokiet?

– Niestety! bardzo mało.

Miś Rossowski, który aż do tej chwili, jak przystoi na prawdziwego gentlemana, nie mieszając się do rozmowy patrzył na sufit, zwraca się nagle ku panom i mówi:

– Dziwię się bardzo, jak mało u nas starają się o rozpowszechnienie tej gry, która jednak stanowi główną rozrywkę arystokracji angielskiej.

– I nie tylko angielskiej, ale arystokracji całego świata – wtrąca Maszko. – Przypomnij sobie, Misiu, że i my po całych dniach grywamy w krokietu u hrabiostwa W.

– Tym bardziej, że nasz kraj, zdaje się, sama Opatrzność stworzyła do krokietu. Kraj jest równy i trawniki udają się doskonale.

Pani Zwiernicka i panny Słomińskie oświadczają, że i im trudno zrozumieć, jak mogły istnieć dotąd bez gry, a pani Sidorowicz dowodzi, że nawet dawno prosiła o to męża.

– Mężu! musisz kochanie sprowadzić krokietu.

– Kogo, duszko? – pyta pan Sidorowicz.

– Figlarz! udaje, że nie wie, o co chodzi – woła pani Sidorowicz chcąc ukryć rumieniec, jaki na twarz jej wywołała ignorancja⁶³ męża. – Ja bym nawet sama się tym zajęła, ale na-przód, ja ciągle jestem niezdrowa, a powtóre, ja tyle mam na głowie!

Tu oczy wszystkich mimo woli zwracają się na głowę pani Sidorowiczowej, której kok zdołały przekonać najzatwardziały, że dama ta istotnie niemało ma na głowie.

⁶¹ (franc.) uroczy, rozkoszny.

⁶² *krokiet* – (z ang.) popularna w połowie XIX w. gra towarzyska na wolnym powietrzu.

⁶³ *ignorancja* – (z łac.) nieświadomość, nieznajomość, nieuctwo.

Tymczasem inna grupa wiejskiego towarzystwa, złożona z mężczyzn zebranych koło Jasia Złotopolskiego, z niemniejszym zajęciem rozmawia o kolonizacji, jako o jedynym środku pozostałym dziś szlachcie.

– Szczęśliwyś, szczęśliwyś sąsiedzie! – mówi pan Feliksowicz.

– Myśmy wszyscy powinni iść twoim śladem.

– Moi panowie! – odpowiada Jaś – każdemu otwarta droga. Dzisiejsze nasze położenie jest takie, że pozostaje nam albo rozkolonizować majątki, albo z nich wyjść.

– Tylko, że jak rozkolonizujemy, to także z nich wyjdziemy – robi uwagę jeden ze słuchających.

– Nie jestem ja też za tym, żeby sobie nie zostawić jakiejś części. Owszem, ponieważ obywatele wiejscy są czołem ogółu, każdy z nas przeto, moi panowie, powinien sobie zostawić dwór i część ziemi, żeby nie stracić charakteru posiadacza wiejskiego.

– Ale oczywiście, to tego, ho! ho! mości dobrodzieju! – woła otyły pan Waszkowski – no bo i bez tego, mości dobrodzieju!... Co to ja chciałem powiedzieć?

– Namysł się pan – odpowiada pan Feliksowicz. – Ale skądże szanownemu sąsiadowi taka myśl szczęśliwa przysła? – pyta Złotopolskiego.

– Myśl to nie nowa i podobno praktykowana już od dawna między nami. Co do mnie, wyznaję, że winienem ją przyjacielowi memu, panu Maszko.

Obecni obywatele ściskają kordialnie⁶⁴ rękę Maszki, który mówi z rozrzewnieniem:

– Panowie! ludzie jak my powinni sobie pomagać.

– Co ja to chciałem powiedzieć?! – woła grzmiącym głosem pan Waszkowski.

Ale ruch powstających osób nie pozwala panu Waszkowskiemu przypomnieć sobie, co chciał powiedzieć. Wszyscy żegnają z uniesieniem Misia, Jasia i Maszkę, a szczególnie księcia Antosia, którego bytność pozostanie na długie czasy w pamięci powiatu N. Pani Zwiernicka nie żegna go inaczej jak: „do widzenia!” Ona wie na pewno, że kto ma rysy książąt M...skich, ten będzie miał i wrodzoną im grzeczność, zatem nie inaczej jak: „do widzenia!”

V

Tymczasem w Warszawie rzeczy zaczęły brać obrót dla Złotopolskiego wielce niebezpieczny. Pan Maciej Iwaszkiewicz coraz lepiej był widziany i przez panią Bujnicką i przez Fanię. Próbowwała wprowadzić pani Bujnicka dowiedzieć się z różnych źródeł o istotnym stanie spraw Złotopolskiego, ale próby nie udawały się najczęściej. Książę Antoś i Miś Rossowski, którzy niedawno wrócili ze Złotopola, mogli ją rzeczywiście objaśnić, ale ci związani słowem, jak wiemy, przez Jasia, milczeli lub wyrażali się o nim tak tajemniczo, że to tylko powiększało niespokojność pani Bujnickiej.

– Ja jestem matka – mówiła ta dama – i nie mogę oddać dziecka w ręce człowieka bez majątku. Iwaszkiewicz, jakkolwiek nierówny Złotopolskiemu, wyszlachetni się przez związki z nami. Zresztą, w dzisiejszych smutnych czasach pieniądze wiele znaczą, a kto wie czy nie wszystko.

Pani Bujnicka patrzyła jednak zbyt pesymistycznie na dzisiejsze czasy. Pieniądze wprowadzie dziś wiele znaczą, ale nie wszystko. Obok kapitału brzęczącego istnieje w praktyce towa-

⁶⁴ *kordialnie* – (z łac.) serdecznie, czule

rzyskiego żywota i drugi kapitał, który choć umarły daje jednak kupony⁶⁵ mające wcale niezły kurs w praktyce. Kapitałem tym są trumny pradziadów. Ileż to ludzi żyje wyłącznie z tego kapitału, a ma się jednak dobrze. Jadają dobre obiady, piją dobre wina i palą dwuzłotowe cygara. Na świecie wszystko jest handlem i wymianą. Ci, którym brak kapitału trumien, kupują obiady, wino i cygara posiadającym go, a w zamian kupują też i zaszczyt ich towarzystwa i możliwość prowadzenia się z nimi pod rękę i prawo mówienia im: Jasiu, Misiu, Antosiu etc.

Potem drwią wprawdzie z siebie wzajemnie, ale handel na tym nie traci, a życie zyskuje.

Pani Bujnicka miała jeszcze jeden powód przyjmowania łaskawiej Iwaszkiewicza.

Powodem tym była Fania.

Fania zmieniła się bardzo w ostatnich czasach. Dawniej zawsze swobodna, a jednak pełna chłodu i panująca nad sobą, dziś stawała się zamyśloną, nieuważną, mniej ostrożną w wyrażeniach i na koniec okazywała Iwaszkiewiczowi więcej nawet przychylności, niż pozwalały na to prawa form towarzyskich.

Przyszło do tego, że pani Bujnicka musiała zwrócić uwagę córki na zbytnią wyrazistość ich stosunków.

– Faniu – rzekła – jakkolwiek nie mam nic przeciw Iwaszkiewiczowi, ale pomyśl, moja duszko, czy nie zbyt wyraźnie okazujesz mu... nie chcę wymówić tego słowa! Pamiętaj tylko, że zwłaszcza pannom naszego towarzystwa nie przystoi okazywać wyraźnie przy wszystkich... nie chcę wymówić tego słowa.

Pani Bujnicka była matką wielce troskliwą i wielce dbałą o wychowanie córki. Zdarzyło się raz, że kiedy Fania miała lat piętnaście, a wujaszek sprzeciwiał się jej, że musi iść za męża, pani Bujnicka prosiła go, żeby nie używał przy jej córce wyrażen niemoralnych.

Tymczasem Iwaszkiewicz bywał u Bujnickich prawie codziennie. Widywali się przy tym z Fanią i na rozmaitych zebraniach towarzyskich. Widywali się na herbatach z kanapkami u hrabstwa W., tam właśnie, gdzie codziennie grywano w krokiet; widywali się na herbatach z tartinkami⁶⁶ u senatorowej M., gdzie znów Zubicki, znakomity literat przyszłości, czytywał swoje artykuły: „O stosunku szlachty łęczyckiej do rozwoju cywilizacji w ogólności”. Na koniec spotykali się dość często, a może najczęściej, na wieczorach państwa C...skich, które cudowny dwunastoletni wirtuoz⁶⁷, hrabia Józio, uprzyjemniał grą na skrzypcach, a starszy jego brat, „nieporównany” hrabia Władzio, sztukami magicznymi i doświadczeniami z magnetyzmem zwierzęcy⁶⁸, wykonanymi na suce gospodyni domu.

Uspokajało to do wysokiego stopnia panią Bujnicką, że Iwaszkiewicza przyjmowano we wszystkich tych domach z całą grzecznością, a raz nawet sam książę Tadeusz chodził z nim pod rękę blisko kwadrans, potem zaś zbliżywszy się do pani Bujnickiej rzekł:

– Nie chciał mi się przyznać Iwaszkiewicz, że stara się o rękę Fani, ale tak ogólnie mówią, i jeżeli tak jest, to wieszuję kuzynce.

Pani Bujnicka spojrzała ze strachem na mówiącego, w obawie czy nie drwi, ale książę Tadeusz był poważny, zresztą siwe jego włosy nie pozwalały przypuszczać żeby drwił.

– Tak!... to jest... on bywa... to jeszcze niepewne – odpowiedziała pani Bujnicka.

⁶⁵ *kupon* – (z franc.) kwit służący do podjęcia procentu od papierów wartościowych, które w ustroju kapitalistycznym przynosiły ich właścicielom dochód bez wkładu pracy. Tu w znaczeniu przenośnym – tzw. „dobre imię” również się opłaca, bo ma „niezły kurs”, to znaczy jest cenione w sferach finansowych i towarzyskich.

⁶⁶ *tartinka* – (z franc.) cienki kawałek chleba lub bułki z masłem, kanapka.

⁶⁷ *wirtuoz* – (z włos.) mistrz; artysta.

⁶⁸ *magnetyzm zwierzęcy* – popularna w XIX wieku teoria, według której w organizmie ludzkim istnieją specjalne siły narzucające wolę człowieka innym ludziom lub nawet zwierzętom.

– Dajcie mu bez wahania córkę, kuzynko. On pójdzie wysoko.

– Przed tobą, kuzynie – odpowiedziała ucieszona dama – nie będę ukrywała, że i on ma swoje ale, tj. że on sam sobie podobno wszystko winien, ale cóż robić nam w dzisiejszych czasach, tym bardziej że Fania okazuje mu wiele sympatii.

Tu troskliwa matka wskazała księciu Tadeuszowi na Fanię, do której właśnie zbliżał się Iwaszkiewicz.

– Patrz, kuzynie! – rzekła pani Bujnicka.

Rzeczywiście, twarz Fani, gdy młody człowiek stanął przed nią, zajaśniała uśmiechem. Podniósłszy się nieco, zebrała jedną ręką fałdy sukni i wskazawszy mu miejsce obok siebie zaczęła ożywioną rozmowę.

Porzućmy i my księcia Tadeusza z panią Bujnicką, a posłuchajmy rozmowy młodej pary.

– Jakże pan znajduje wieczór dzisiejszy? – zaczęła Fania.

Inżynier spojrzał po oświetlonym salonie i spytał:

– Pani lubi wieczory i zabawy?

– Ja przyznam się panu, że wolę mój pokój, w którym mogę myśleć o tym, co mi najmilsze, ale mama chce żebym się bawiła, więc muszę bywać, choć onegdaj na przykład nudziłam się z całej duszy u senatorowej L. Dlaczego pan tam nie był?

– Nie miałem czasu, zresztą nie wiedziałem, że panie tam będą.

– Jak to nieładnie z pana strony, a ja myślałam, że pan przyjdzie i tak mi smutno było jakoś samej słuchać wywodów pana Zubickiego o stosunku szlachty łęczyckiej do cywilizacji w ogólności.

Inżynier spojrzał na nią ze spokojnym, ale głębokim przywiązaniem.

– I wczoraj pan u nas nie był – ciągnęła tonem wyrzutu Fania.

– Niech mi pani wierzy – odparł – że tyle tylko mam chwil prawdziwego szczęścia w życiu, ile spędzam ich u państwa, ale muszę pracować na chleb powszedni.

Fania uśmiechnęła się nieznacznie.

– A przy tym – ciągnął dalej Iwaszkiewicz – w pracy cała moja wartość, nie chciałbym jej tracić w oczach pani.

– Od tylu lat nauczyłam się cenić pana, że opinii mojej w tym względzie nic nie zmieni. Ale pracując nie trzeba zapominać o przyjaciółach.

– Zawsze o nich pamiętam.

– O, niech pan pamięta! a co do opinii ich, niech pan będzie spokojny. Niestety! to ja powinienam się lękać. Wiem, że ja nie umiem dorównać panu, ani się podnieść do jego wysokości (tu w głosie Fani zadźwięczał smutek). Wiem, że pana, przywykłego do życia serio, może i nudzi moje szczebiotanie, ale niech mi pan wierzy, że ja pragnęłabym z całej duszy zasłużyć na szacunek pana, pragnęłabym mu dorównać, ale właśnie dlatego potrzebuję wskazówek pana. Pan mnie już tyle nauczył, w tylu rzeczach otworzył mi oczy na świat, że i nadal proszę o pomoc pańską. Pan mi nie odmówi?... prawda?

Tu Fania złożyła z wyrazem prośby białe rączki i pochyliła główkę tak, że złote jej loki posypały się po ramionach.

Iwaszkiewicz potarł dłonią czoło i z przymkniętymi oczyma zdawał się śnić jakimś czarownym snem. Miękkie, pieszczące słowa Fani płynęły niepojętym czarem do jego uszu. Zdawało mu się, że cały chór słowików przyleciał z wilgotnych olszyn i zaczął pieśń skrzydlatą, że całe powietrze pełne było po prostu anielskiej muzyki. Cały salon wraz z szeregiem lamp, z rojem gości, z obnażonymi ramionami kobiet, z twarzami mężczyzn, zakręcił mu się w oczach.

Ale nie zdobył się na odpowiedź, bo w tej chwili ozwały się skrzypce cudownego dwunastoletniego wirtuoza i czar prysnął. W salonie powstał szmer gotujących się do słuchania go-

ści i nieśmiertelny Beethoven⁶⁹ zaczął jęczeć całą gamą przeraźliwych tonów, ryczeć basem, piszczeć wniebogłosy wiolinem...⁷⁰ zapewne z zachwytu nad wybornym wykonaniem swej sonaty ręką cudownego wirtuoza.

Na twarzach słuchaczy pojawił się podziw i zdumienie. Oto stary hrabia W. okręca szybko palce rąk złożonych na wydatnym żołądku, zamruza oczy i kiwa w takt głową, a twarz jego wyraża taką ekstazę⁷¹, że lada chwila rozplynie się we łzach; pani Bujnicka od czasu do czasu zwraca się do pani C. z żywymi gestami przeczenia na znak, że temu, co słyszy, nie podobna uwierzyć, a znany literat, chorąży światła Zubicki, przewraca nuty cudownemu dziecku i rzuca spojrzenie na grupy panien, rozdymając przy tym nozdrza.

Wreszcie egzekucja⁷² Beethovena kończy się, następują oklaski; czarne fraki zajmują dawne miejsca obok różnokolorowych sukien; po całym salonie brzmi na nowo ożywionym gwarem rozmowa, najczęściej o cudownym zjawisku, które oglądano przed chwilą.

– *Magnifique! magnifique!*⁷³ – woła obok Fani cienki głosik młodzieńczego filara salonowego. – *Savez-vous mademoiselle que c'est incomparable!*⁷⁴ Dostyc powiedzieć, że ja nawet, któremu zarzucają zbytnią złośliwość w sądzeniu dzieł sztuki, a jednak, wyznaję, *que je suis vaincu*⁷⁵.

Fania spogląda na drobniuchną postać i bezwąsą twarz młodzieńca, któremu zarzucają zbytnią złośliwość w sądzeniu dzieł sztuki i odpowiada:

– Nie wiedziałam, że pan już taki surowy.

– Chciałem nawet – odpowiada młodzieńcy filar – iżby po egzekucji Beethovena egzekwował⁷⁶ jeszcze i Chopina, ale powiedziano mi, że czeka nas co innego.

– Cóż nas jeszcze czeka?

– Doświadczenia hrabiego Władzia z magnetyzmem. Oto nawet wnoszą już stół. Muszę iść, bo się tam beze mnie nie obejdzie.

Z tymi słowy młodzieńcy filar opuszcza Fanię i śpieszy tam, gdzie jego obecność jest konieczną.

– Przerwano nam naszą rozmowę – rzekła Fania – a chwila jej była dobra, ale teraz znów jesteśmy tak prawie jak samotni.

Iwazzkiewicz spojrzał na nią wyrazistymi oczyma.

– Zatem dla mnie wraca dobra chwila – rzekł.

Fania zamyśliła się jakoś.

– Każda dobra chwila ma to do siebie – rzekła – że już nie powraca raz drugi.

– I dlatego?...

– Dlatego trzeba umieć z niej korzystać.

– O, pani! niejedna chwila w życiu bywa jak zasłona, pokrywająca przyszłość. Człowiek przychodzi aż do niej i sam nie wie, czy ją podnieść, czy czekać jeszcze. W niepewności jest ból, ale jest i nadzieja.

– Odwagi trzeba, panie Iwazzkiewicz.

⁶⁹ Ludwik van B e e t h o v e n (1770–1827), wielki kompozytor niemiecki, twórca 9 symfonii, wielu sonat (np. Sonata księżycowa) i uwertur (np. Egmont, Koriolan).

⁷⁰ *violin* – (z włos.) prawa strona klawiatury fortepianowej.

⁷¹ *ekstaza* – (z grec.) zachwycenie, marzycielskie uniesienie, wzruszenie.

⁷² *egzekucja* – (łac. *exsecutio* – wykonanie). Tu wyraz ten użyto w ironicznym zastosowaniu do złego wykonania utworu muzycznego.

⁷³ *magnifique* – (czyt. manifik; franc.) wspaniale.

⁷⁴ (franc.) Czy pani wie, że to jest niezrównane.

⁷⁵ (franc.) że jestem pobity.

⁷⁶ *egzekwować* – (z łac.) wymuszać; tu: wykonać, odegrać utwór muzyczny.

– A czasem i zachęty.
– Kto doradza odwagę, ten zachęca.
– A jednak, jak to trudno! Panno Fanny! oto taka zasłona leży teraz na oczach moich. Nie wiem, czy po zerwaniu jej zobaczę światło, czy ciemność. Ale pani, w imię naszej dawnej przyjaźni, powstrzymaj mnie lub zachęć wyraźnie – powiedz: „zerwij” lub: „daj pokój”.

Była chwila długiego milczenia, podczas którego serce Iwaszkiewicza biło śmiertelną trwogą.

Fania zakryła twarz wachlarzem, ale razem z szelestem jego skrzydełek doszedł Iwaszkiewicza jeden cichy jak ruch piór łabędzich wyraz:

– Zerwij!

– Ja panią kocham! Fanny, ja ciebie kocham!

Fania nie odrzekła nic, ale jeszcze troskliwiej zakryła twarz wachlarzem, a ręce jej drżały widocznie. I znowu niepewność wstrząsnęła sercem Iwaszkiewicza, a niepewność ta trwać miała tym dłużej, że w tej chwili „nieporównany” hrabia Władzio, magnetyzujący suczkę gospodyni, zawołał:

– *Voyez mes dames et mes demoiselles!*⁷⁷ Oto suka śpi już od pięciu minut i jeżeli ścisnę ją zaraz za ogon, ani piśnie, tak wielka jest potęga magnetyzmu.

Nastąpiła chwila głębokiej ciszy.

Nagle dał się słyszeć przeraźliwy wrzask suki dowodzący, jak wielką jest w istocie potęga magnetyzmu; po czym nastąpiły żywe oklaski podziwu i uwielbienia dla nieporównanego hrabiego Władzia, który tak szczęśliwie umiał połączyć wiedzę z wysokim urodzeniem i majątkiem.

To wszystko sprawiło, że Fania nie mogła dać odpowiedzi Iwaszkiewiczowi. Równocześnie zbliżyło się do niej kilku innych filarów salonowych państwa C., a następnie przyszała i sama pani Bujnicka. Iwaszkiewicz z coraz wzrastającym niepokojem zauważył, że Fania przez resztę wieczoru była milcząca i niby smutna; unikała starannie jego wzroku, a oczy jej błędziły z nieokreślonym wyrazem po całym salonie. Zmiana w jej twarzy uderzyła wkrótce i matkę.

– Co tobie jest, Fanieczku, czyś nie chora? – spytała matka. – Może wrócimy już do domu?

– Dobrze – odrzekła krótko.

– Ale obiecałam odwieźć panią Szemiot. My wysiadziemy, a ona pojedzie dalej. I ja już jestem zmęczona. *Et voilá!*⁷⁸ i pani Szemiot! Jedziemy.

Fania była niepojęcie milcząca. Nawet wówczas, gdy Iwaszkiewicz już w przedpokoju otulał ją ciepłym płaszczem jesiennym, prócz lakonicznego *merci!*⁷⁹, nie usłyszał od niej ani słowa.

Dopiero gdy wsadziwszy panie do powozu, gotował się zamknąć drzwiczki, Fania prze-rwała milczenie.

– Mamo – rzekła – niech pan Iwaszkiewicz siada z nami; odwiezie dalej panią Szemiot.

Iwaszkiewicz wsiadł do karety. Mimo całego niepokoju, nie mógł się oprzeć pewnemu wrażeniu rozkoszy, gdy na dość ciasnym siedzeniu znalazł się obok Fani, i gdy za każdym silniejszym wstrząśnieniem dotykał ramieniem jej ramienia. Zresztą, jak tonący w każdej desce widzi ratunek, tak i on ostatnią interwencję⁸⁰ Fani poczytał za dobry znak. Przecie jej milczenie mogło być tylko skutkiem wzruszenia. Nie słucha się w dwudziestym drugim roku

⁷⁷ (franc.) Patrzcie moje panie i panienki!

⁷⁸ *Et voilá!* – (czyt. e wualá; franc.) i oto.

⁷⁹ *merci* – (czyt. mersi; franc.) dziękuję.

⁸⁰ *interwencja* – (z łac.) wmieszanie się, wdanie się w cudzą sprawę.

życia czarownego słowa kocham spokojnie. Trudno je wymówić, ale równie trudno wysłuchać bez gwałtownego bicia serca. Każdy, kto je raz w życiu wymówił lub wysłuchał, pamięta dobrze, jakie wzburzenie, jaki niepojęty zamęt, jaką rozkosz, ale i jaki przestach budzi ono, gdy płynie nie tylko z ust, ale i z serca. Hej! świat się zatoczy, zakręci i pociemnieje, i zabyśnie razem. Słyszysz szum własnej krwi w żyłach, szelest własnego pulsu. Jedno maleńkie słówko! a jest w nim tyle wartości, ile warto szczęście. Nie więcej rzuca światła cicha błyskawica na tło nocne jako to słowo na ciemne i głupie strony żywota. Ale ma ono i stronę odwrotną. Gdy brzmi bez echa, bywa śmiesznym, gdy bez prawdy – nikczemnym. A jednak często brzmi i w ten sposób. Biblia nie może zabronić szatanowi, żeby ją cytował, tak i ono nie może zabronić mężczyznom, żeby je kupowali, kobietom, żeby je sprzedawały; głupcom w ogóle, żeby go nie rozumieli; konwenansowi⁸¹, żeby je odrzucał. Dla konwensu jest ono za silnym, a jeśli porównanie do błyskawicy się podoba, i za jaskrawym. Stąd ucywilizowany i ogładzony głupiec nie wymawia go, ale daje do zrozumienia z pomocą omówień, które są plewą nawianą powiewem prawdy i prostoty. Iwaszkiewicz złamał konwenans, ale nie popełnił ani śmieszności, ani też był nikczemnym, bo mówił prawdę. Wstąpiła przy tym w niego nadzieja, że i Fania nie poczyta mu za złe owego złamania praw towarzyskich. Dlaczego jednak milczała?

Kareta toczyła się szybko wśród głuchych i pustych ulic. Osoby siedzące w karecie pod wpływem rozlicznych wrażeń nie mówiły do siebie nic.

Pani Bujnicka spała, – jeżeli nie tak uprzejmie, jak miała zwyczaj sypiać na kanapach podczas długich wieczorów tańczących, to równie smacznie. Pani Szemiot tonęła zapewne w rozmyślaniach, że jechać kareta daleko jest wygodniej, niż chodzić piechotą. Iwaszkiewicz na koniec rozmyślał, że owa śliczna i ukochana jego Fania, której oddech mógł teraz łowić uchem, krótką już tylko chwilę będzie przy nim tak blisko.

Nagle ciszę przerwało westchnienie Fani.

Westchnienie to było tak ciche i niewyraźne, że nie dosłyszała go ani pani Szemiot, ani pani Bujnicka, a i Iwaszkiewicz odczuł je raczej.

Nagle zadrżał.

Zdało mu się, że Fania silniej oparła się na jego ramieniu.

Tymczasem z wolna kłoniła się ku niemu jej złota główka. Pełne woni a miękkie jak *pela*⁸² loki musnęły mu skroń raz i drugi. Za chwilę twarz jego owionęło jej ciepłe tchnienie. Dziwny jakiś dreszcz rozkoszy wstrząsnął nim od stóp do głowy. Równocześnie wśród fałd burnusa⁸³ zbliżała się ku niemu biała jak kwiat ręka. Dotknięcie loków powtórzyło się znowu, a wkrótce uczuł cały ich potok na ramieniu. W ciszy nocnej mógł już słyszeć bicie pulsów w skroniach Fani. Nagle głowa jej z całym zaufaniem snu lub miłości spoczęła na jego ramieniu.

Wtedy odszukały się ich dłonie i tak już trwali w wielkiej ciszy, a w większym jeszcze szczęściu.

Ale, o czytelniku! powiem coś na ucho, Fania nie złamała konwensu, bo... konwenans tam się kończy, gdzie się zaczyna szara godzina.

VI

⁸¹ *konwenans* – (z franc.) przyjęte formy towarzyskie, zwyczaje obowiązujące ludzi dobrze wychowanych.

⁸² *pela* – (z franc.) nitki bardzo cienkiego jedwabiu używane do delikatnych haftów.

⁸³ *burnus* – (z arab.) rodzaj płaszcza bez rękawów z kapturem.

Jaś Złotopolski nudził się z całej duszy w Złotopolu i jeśli nie wyjeżdżał *comme tous les diables*⁸⁴ do Warszawy, to tylko dlatego, że Maszko trzymał go, jak to mówią, za poły. Maszko był człowiek nieoszacowany. Kto z panów obywateli mających do rozkolonizowania ojczyzny majątek wyobraża sobie, że to tak łatwo, ten może się srodze zawieść.

Jaś nigdy by sobie nie dał rady, gdyby nie Maszko. Ale z pomocą tego ostatniego sprawa szybko posuwała się naprzód, a nawet z wyjątkiem niektórych prawnych formalności można ją było uważać za skończoną. Złotopole wkrótce po wyjeździe Misia i Antosia zmieniło się do niepoznania. Teraz wyglądało jakby obóz. Na ogromnym podwórzu między zabudowaniami folwarcznymi stanęły szalasy i namioty cywilizacyjnej awangardy, która z żonami i dziećmi ściągała do Złotopola. Tymczasem rąbano las, a przy końcu cienistej lipowej drogi, prowadzącej do dworu, widniały już żółte zręby belek mających się stawiać domów; obok kup cegły wznosiły się stosy gontów lub wiórów, wśród których kręcili się z piłami lub siekierami pracownicy przybysze w krótkich kaftanach, a długich kamizelach. Budowle wznosiły się szybko; nikt nie przeszkadzał kulturträgerom⁸⁵. Czasem tylko osowiały jaki Mazur przechodząc koło rozpoczętych budowli zwijał w kłęby potężne pięści i spoglądał spode łba jak pies na łańcuchu na przyszłych swoich sąsiadów. Ale nie przychodziło do zajść.

Wieś była dosyć odległa, a parobcy dworscy mieli najsurowszy rozkaz nie dawania zaczepki. Zresztą, i koloniści zbyt już licznie ściągnęli, żeby się mieli obawiać! Pełno ich było wszędzie i w czworakach, i w zabudowaniach folwarcznych. Kto by wieczorem przechodził koło czworaków, ten mógłby osądzić, że cudem jakim został przeniesiony w krainę Szprei⁸⁶. Z okien biło jasne światło i dochodził gwar ożywionej rozmowy; czasem pudel zaszczekał, czasem zadźwięczała gitara, zabrzękły kufle. Zamiast pieśni onych prostych o Jasińku i Kasińce, brzmiała teraz bardziej ożywiona nuta: „*Wo ist das deutsche Vaterland?!*”⁸⁷, zamiast smętnego: „danaż, oj dana!” słychać było weselsze; „*ein, zwei, drei!*” Nigdy tyle życia nie bywało w Złotopolu, chyba może za tych czasów, gdy dwór i dziedzińce wrzały rojami szlachty zgromadzonej na Turka lub Szweda. Ale dziś był to widok spokojniejszy i bardziej stosowny do naszej epoki. Zamiast strasznych pancernych kręciły się po podwórzu jasnowłose *Mädchen*⁸⁸, po płotach zamiast kulbak⁸⁹ i znaków bojowych zwieszały się niebieskie pończochy tychże *Mädchen*. Ehe! inne trochę czasy, a tamte minęły jak i wiele innych rzeczy, które minęły także...

Z początku bawił Złotopolskiego ten ruch i to rozbudzone życie. Przy tym czuł to, co czuje każdy człowiek po spełnieniu dobrego czynu. Wprowadzał żywioły cywilizacyjne, dawał dobry przykład obywatelstwu, wychodził z długów, sprzedawał Złotopole, a jednak je miał, wedle wyrażenia Maszki, bo zostawały mu: dom i ogród. Słowem, urósł sam we własnej opinii. Ależ miało to wszystko i swoje ujemne strony. Trzeba było siedzieć na wsi, jeździć do powiatu, wchodzić w stosunki z urzędnikami, ścisnąć się z nimi za ręce, podawać im otwartą na roścież *porte-cigares*⁹⁰, aby czerpali z niej dla utrwalenia stosunków, trzeba było zapraszać ich na śniadania, gadać z nimi, patrzeć, jak przymrużają jedno oko na znak, że sprawa idzie dobrze, dziękować za zapewnienia, że „ile się da, tyle się zrobi” i tak dalej. Tego wszystkiego

⁸⁴ (franc.) jak wszyscy diabli.

⁸⁵ *Kulturträger* – (czyt. kulturtreger; niem.) szerzyciel oświaty, kultury; tu w znaczeniu ironicznym.

⁸⁶ *kraina Szprei* – kraina nad Szprewą, rzeką w Niemczech.

⁸⁷ (niem.) Gdzie jest niemiecka ojczyzna?

⁸⁸ *Mädchen* – (czyt. Medchen; niem.) dziewczyna.

⁸⁹ *kulbaka* – (z tat.) siodło do konnej jazdy.

⁹⁰ *porte-cigares* – (czyt. port cigar; franc.) papierośnica.

nie lubił nasz wykwinny bohater. W końcu zateęsknił za Warszawą i za towarzystwami, i za zwykłym trybem życia, i za Misiem Rossowskim, i za księciem Antosiem, i za swym gro-
mem w obcisłych ineksprymablach, i za tym wszystkim, czym był zwykły wypełniać czas od
godziny dziesiątej rano do drugiej po północy. Jeden tylko Maszko dotrzymywał mu towarzy-
stwa, ale i ten wyjeżdżał dość często z kolonistami, a w końcu wyjechał na dwa dni do War-
szawy.

– Gdy wrócę, spodziewam się, że już wszystko będzie skończone – rzekł mu wyjeżdżając.

– Ach! przekłete to Złotopole – odmruknął Jaś – czy koniecznie muszę zostać?

– Musisz, przyjadą tu geometrzy, trzeba będzie ich przyjąć. Kochany Jasiu! dwa dni tylko.

– Przez które jeśli nie zwariuję, to będzie cud.

– Przywiozę ci wiadomość z Warszawy. Ciekawys zapewne, co tam słyhać w naszych
kólkach.

– No jedź już.

– *Adieu!*

Te dwa dni były dla Jasia najgorsze. Dwa dni siedzieć prawdziwemu gentlemanowi na wsi,
w zupełnej samotności, to istotnie rzecz nie mała. Jaś chętnie byłby pojechał w sąsiedztwo do
pani Zwiernickiej, Feliksowiczów lub Słomińskich, ale znów nie wiedział, kiedy przyjedzie
geometra. Na dobitkę zapomniał w Warszawie pilniczka do paznokci, bo gdyby był nie za-
pomniał, miałby przynajmniej zajęcie, ale bez pilniczka ani rusz. Jasiowi mimo woli przyszła
na myśl uwaga, jak trudno jest być wzorem obywatelstwa i dawać dobry przykład, niech by
przez parę tygodni tylko. Wprawdzie znalazł niejaką ulgę w tej uwadze, jednakże nie spo-
dziewał się, żeby mu wystarczyła na całe dwa dni.

Nie tak więc nawet kochanek wygląda przyjscia oblubienicy na umówione *rendez-vous*⁹¹,
jak on wyglądał powrotu Maszki.

Drugiego dnia z rana przyjechał geometra dla ostatecznego potwierdzenia wymiarów, ale
Jaś z niego nie miał wielkiej pociechy z tej przyczyny, że geometra był trochę głuchy, a na
wszystko, co do niego mówiono, wyszczerzał zęby, wytrzeszczał oczy i odpowiadał z wyra-
zem zdziwienia:

– Wszelako?

Jaś był w rozpacz.

Ale wszystko ma swój koniec, nawet dwie doby na wsi. Trzeciego dnia zaturkotał powóz
przed gankiem – Maszko przyjechał.

Jaś wybiegł na ganek.

– Skończone? – spytał.

– Skończone.

Jaś odetchnął głęboko, potem podał Maszce obie ręce.

– *Je vous remercie de tout mon coeur!*⁹²

– Ludzie jak my powinni sobie pomagać.

– Pieniądze odebrałeś?

– Odebrałem więcej, niż się spodziewał: trzykroć pięćdziesiąt.

– Bardzo zmęczony?

– Nie! albo co?

– Bo za godzinę wyjeżdżamy do Warszawy.

Maszko położył rękę na ramieniu Złotopolskiego.

– Nie bardzo masz po co tam wracać.

– No?

⁹¹ *rendez-vous* – (czyt. rande-wu; franc.) spotkanie.

⁹² (franc.) Dziękuję panu z całego serca.

- To, co wiem, nie może ci być przyjemnym.
- Zwłaszcza, gdy nie wiem, o co chodzi.
- Więc powiem ci, że spóźnisz się trochę. Fanny wychodzi za Iwaszkiewicza. Już jest po deklaracji⁹³.

Maszko mówił to z pewną troskliwą przezornością, ale jakież było jego zdziwienie, gdy zamiast spodziewanego wybuchu Złotopolski rzucił spokojnie kawałek niedopalonego cygara i rzekł:

- Ho! ho!
- Jasiu! – zawołał wówczas z entuzjazmem Maszko – my wszyscy, których *noblesse oblige*, staramy się być gentlemanami, ale ty jesteś niedoścignionym wzorem!
- Gdyby tu był Miś – rzekł obojętnie Złotopolski – przypomniałby ci, że przede wszystkim prawdziwy *gentleman* nie unosi się.
- On sam uniósłby się nad tobą.
- Zresztą, mój kochany – ciągnął Złotopolski – jeśli przyjąłem tę wieść obojętnie, to tylko dlatego, że nic nie tracę i niczego się zrzekać nie myślę.
- Jak to, nawet Fani?
- I Fani.
- A któż zabroni Iwaszkiewiczowi ożenić się z nią, skoro został przyjęty?
- Ja! – rzekł z mocą Jaś.

Maszko zauważył, przy owym: „ja” oczy Złotopolskiego zabłysły dziwną dumą, że mimo delikatności rysów stał się wówczas podobny do wszystkich Złotopolskich, których portrety wisiały w sali jadalnej.

- Czy ty myślisz – spytał – że Iwaszkiewicz ci ustąpi?
- Złotopolski uspokoił się szybko i odpowiedział już chłodno.
- To mi wszystko jedno, wiem tylko, że ja nie ustąpię. Mój drogi Maszko! wierzaj, że tu nie chodzi mi o Fanię, ale o mój honor. Gdyby ktokolwiek spomiędzy nas oświadczył się Fani podczas mojej nieobecności, ani bym palcem ruszył. Ale ponieważ nazywam się Złotopolski, nie mogę pozwolić pierwszemu lepszemu intruzowi, żeby mi w drogę wchodził. Dlatego nie cofnę się nawet przed pojedynkiem, a nadto mnie znasz, żebyś miał wątpić o tym.

Istotnie, Złotopolski wcale tchórzem nie był. Nie mieszał się do żadnych niebezpiecznych spraw na wielką skalę, ale w pojedynku umiał stać bez mrugnięcia okiem pod lufą przeciwnika. Oto niedawno wyzwał był i ranił jednego ze swoich znajomych za to, że śmiał twierdzić, jakoby on, Złotopolski, dał fałszowanego muma na wydanym u siebie obiadku. Maszko nie wątpił zatem o prawdzie słów jego.

- Dobrze to jest – rzekł – ale jakże ty możesz pojedynkować się z Iwaszkiewiczem?
- Sądzę, że do tego nie przyjdzie, ale ostatecznie wolę takiego Iwaszkiewicza pobić, niż być od niego pobitym – jeszcze w takiej rzeczy.
- Jasiu! ty jesteś niedoścignionym wzorem!
- Dobrze. Tymczasem idę i każę zaprzęgać.
- Złotopolski wyszedł. Maszko zostawszy sam, szybko przysunął się do lustra.
- A któż zabroni Iwaszkiewiczowi ożenić się z Fanią? – spytał sam siebie półgłosem.
- Ja! ja! – odpowiedział również sam sobie. Przy tym strojąc przed lustrem rozmaite grymasy i miny, starał się naśladować ton i wyraz twarzy Złotopolskiego.
- Ja! ja!

Tegoż dnia wieczorem obaj byli już w Warszawie. Złotopolski pobiegł natychmiast do Miścia.

- Jak się masz?

⁹³ *deklaracja* – (z łac.) oświadczenie, oznajmienie, zobowiązanie, tu: oświadczyzny.

- Dobrze.
- Podali sobie ręce.
- No, wiesz ci – rzekł Miś – sprawa skończona?
- Jedna skończona, druga się rozpoczyna. Wiesz, Misiu, co ja ci powiem?
- Co?
- Że, mimo iż cię zwa „jedynym człowiekiem z taktem”, mało jest ludzi tak ograniczonych, jak ty.
- Miś rozczesał spokojnie palcami faworyty⁹⁴.
- Wpływ prowincji: żywość poruszeń, skłonność do grubiaństwa – pomruknał.
- Przestań no, przestań! Jak ci się zdaje, dlaczego Iwaszkiewicz został przyjęty?
- Miś rozczesał drugi raz faworyty.
- Bo się oświadczył.
- Do diabła! Gdybyś był powiedział u Bujnickich, dlaczego wyjechał do Złotopola, gdybyś był powiedział, że robię interes, że nie jestem zrujnowany, że wyjazd mój na wieś nie jest fugą⁹⁵, mogłoby się dziesięciu Iwaszkiewiczów oświadczać.
- Ani słowa.
- Więc dlaczego nic nie mówiłeś?
- Naprzód dlatego, że mnie to nic a nic nie obchodzi.
- W tym też i dowód twojej inteligencji. Nie obchodzi ciebie to, że taki Iwaszkiewicz odsadził od panny jednego z ludzi naszej sfery.
- Miś zmieszał się cokolwiek, ale odrzekł:
- Po wtóre, że ty sam, wyraźnie ty sam związałeś i mnie, i Antosia słowem, że nic nie wspomnimy o tym; chciałeś przecie Fanny zrobić niespodziankę.
- A tymczasem ona zrobiła mi niespodziankę.
- Na honor! prawda.
- Otóż, kiedyś wiedział, jak rzeczy stoją, nie trzeba było się kępować słowem. Mogłeś się domyśleć, że będę ci tylko wdzięczny za takie niedotrzymanie słowa. Ale, żeby się czego domyśleć, trzeba umieć myśleć, a to nie twoje rzemiosło.
- Rzemiosło zapewne nie moje. Chwała Bogu, nie potrzebuję bawić się żadnym rzemiosłem, lecz skoro dał słowo, że będę milczał, to – rozumiesz, drogi Jasiu, choćby od tego i twoje szanowne życie zależało, i Fani, i wszystkich Bujnickich i całej Warszawy – jeszcze bym ani pisał. Rozumiesz, Jasiu?
- Ciekawym, czy równie skrupulatny jesteś w oddawaniu długów na termin, na który przyrzekasz.
- To inna rzecz. Długów nie robię u ludzi naszej sfery. Jeżeli ty na przykład pożyczysz mi pieniędzy, których mi właśnie potrzeba, to, bądź pewny, że ci oddam na termin.
- Dziękuję! Za tobą przyjdzie Antoś, za Antosiem Władzio magnetyzer i tak dalej.
- Z Władziem nie żyjesz blisko, a Antoś nie potrzebuje pieniędzy.
- Co? Antoś nie potrzebuje pieniędzy?
- Nie potrzebuje, bo je ma.
- Antoś ma pieniądze?
- Antoś żeni się z Berlińską.
- Ha! *Canaille!*⁹⁶

⁹⁴ *faworyty* – (z franc.) bokobrody, specjalnie pielęgnowany zarost po obu stronach twarzy.

⁹⁵ *fuga* – (z łac.) ucieczka, wybieg.

⁹⁶ *canaille* – (czyt. kanaj; franc.), pospólstwo, człowiek z gminu. Wrazu tego używano w znaczeniu pogardliwym, obelżywym.

– Przyszedł do Berlińskiego pożyczyć pieniędzy. Berliński zaklął mu się na Boga, uczciwość, sumienie i honor, że nie ma gotówki. A że Antosiowi potrzeba było gotówki, więc powiedział Berlińskiemu, że musi ją mieć, bo się chce żenić; Berliński spytał go z kim? Antoś odpowiedział: „Z pańską córką!” – przy czym dał mu słowo, że nie drwi, *stante pede*⁹⁷ oświadczył się córce; na drugi dzień były zaręczyny, po których Berliński dał Antosiowi pieniądze, a Antoś dał Berlińskiemu weksel.

– Że się ożeni z jego córką?

– Podobno. Czy dotrzyma, to inna kwestia, dość, że dziś ma pieniądze, których ja nie mam i których chcę od ciebie pożyczyć. – Dasz?

– Dam, ale mówmy o mojej sprawie. Dawno byłeś u Bujnickich?

– Wczoraj. A ty prędko będziesz?

– Skorzystam, że jutro dzień recepcji⁹⁸ u nich. Czy myślisz, że pozwolę sobie zabrać Fanię takiemu Iwaszkiewiczowi?

– Ależ bo ona zakochana, zakochana ta mała Fania.

– Drwię z tego.

– *Eh bien!*⁹⁹ Jutro rano przychodzę do ciebie po pieniądze, a wieczorem będziemy obaj u Bujnickich.

VII

Wtorkowe recepcje pani Bujnickiej dość były liczne, chociaż nie uprzyjemniał ich ani „znakomity” Zubicki, ani „cudowny” magnetyzer hrabia Władzio. Jedyłą ich ozdobą była Fania i elegancki świat, który tam bywał. Jak się rzeczy na takich zebraniach odbywają, łatwo się domyśleć. Punkt dziewiąta wieczór pani Bujnicka już strojna siada na kanapie w oświetlonym, ale jeszcze pustym salonie, a siada dlatego, żeby pierwszy frak, który wejdzie, zastał ją już siedzącą i myślał, że ona zawsze tak siedzi na kanapie zachowując tę pozycję, daleko uroczystsza niż każda inna. Tymczasem w również oświetlonym przedpokoju słysząc gniewliwy szept przeznaczonego do zdejmowania paletotów lokaja Feliksa. Stary Feliks gniewa się na syna swego, małego Feliksa, przeznaczonego do zdejmowania kaloszy, a gniewa się o to, że mały Feliks te kalosze regularnie co wtorek gdzieś zapodziewa lub gubi, skutkiem czego on – jego rodzony ojciec, nazywa go bezbożnikiem i przepowiada mu, że wyjdzie na wisielca. Wreszcie daje się słyszeć uderzenie dzwonka, otwierają się sprężyste drzwi salonu i pokazuje się w nich mniej więcej głupia fizjonomia pierwszego gościa. Przybyły podnosi głowę, rozwesela oblicze, jakby go Bóg wie jakie szczęście spotkało i trzymając obiema białymi rękawiczkami kapelusz tuż przy piersiach posuwa się podrygując na każdej nodze w kierunku kanapy, na której siedzi pani Bujnicka. Następują powitania, wzajemne zapewnienia i ożywiona francuska rozmowa. Potem już uderzenia dzwonka powtarzają się co chwila i wkrótce salon napelnia się gwarem, paryskim akcentem, białymi krawatami, wyziewami perfum, gorącym, tiurniurami¹⁰⁰ i trenami dam, folblutami rozmaitych ras i wszystkim, co razem wzięte stanowi szyk, komfort *etc.*

Ponieważ na wieczorach tygodniowych bywają ci tylko, których gospodarz lub gospodyni domu się spodziewa, łatwo zatem wystawić sobie zdziwienie pani Bujnickiej, gdy nagle w otwartych drzwiach obok chudego i długiego Misia pojawił się Złotopolski. Pani Bujnicka

⁹⁷ *stante pede* – (łac.) natychmiast.

⁹⁸ *recepcja* – (z łac.) przyjęcie. Tu w znaczeniu dnia przyjęć dla gości.

⁹⁹ *Eh bien* – (czyt. é bię; franc.) No dobrze.

¹⁰⁰ *tiurniura* – (z franc.) poduszeczka kładziona z tyłu spódnicy damskiej zgodnie z wymaganiami ówczesnej mody.

zdawała się nie dowierzać własnym oczom, a jednak nie było najmniejszej wątpliwości. Tak jest! był to Złotopolski we własnej osobie razem ze swoimi jasnymi faworytami *à l'anglaise*¹⁰¹, ze swoją zawsze równie piękną niby wyrzeźbioną twarzą, której mleczna, prawie dziewicza barwa, dziwnie odbijała od patrzących dumnie ciemnych oczu i męskich wąsów: on! on! elegancki jak zwykle, ufraczony, ukrawaony, urękawiczony, uczesany, jak zwykle bez zarzutu – zatrzymał się na chwilę we drzwiach i podniósłszy głowę obrzucił oczyma cały salon, potem zbliżył się do gospodyni.

Pani Bujnicka uśmiechnęła się z przymusem; mniej wprawna w obroty światowe Fania zmieszała się nawet, tym bardziej że Iwaszkiewicza przy niej nie było; na twarzach obcych pojawiło się oczekiwanie.

Ale Złotopolski nie miał wcale miny zrozpaczonego kochanka, przeciwnie, na twarzy jego obok spokojnej pewności siebie malowała się nawet wesołość. Z całą swobodą i lekkością powitał panią Bujnicką, uściśnął rękę Fani i skłoniwszy głowę obecnym począł rozmawiać z gospodynią.

– Nie spodziewaliśmy się powrotu pana – zaczęła uprzejmie pani Bujnicka. – Pan na długo do Warszawy?

– *Vous savez madame*¹⁰², że stałe moje siedlisko jest w Warszawie.

– Tym lepiej dla naszych towarzyszy; powrót pana jest niezmiernie miłą dla nas niespodzianką.

– Ach! prawda, że to jakoś żyjemy w czasie, w którym panują niespodzianki, ale co do mnie, nie miałem i nie mam zamiaru opuszczać miasta. Wyjechałem tylko na pewien czas dla uregulowania interesów Złotopola, a po ich uregulowaniu natychmiast tu wróciłem.

– Czy przynajmniej pomyślnie panu poszło? W naszych ciężkich czasach nie masz nic kłopotliwszego jak gospodarstwo.

– Nikt tego lepiej nie wie jak ja, który przez trzy tygodnie przeszło musiałem siedzieć na wsi. Ale przynajmniej muszę oddać sobie sprawiedliwość, że interesa uregulowałem tak, jakem się sam nawet nie spodziewał.

– Tak pomyślnie?

– Tak pomyślnie.

– Faniu, uważasz, co pan Złotopolski powiada? Jakże się szczerze cieszymy! Szkoda, że pan wcześniej nie przyszedł, byłybyśmy z Fanią posłuchały szczegółów.

– Ja sam wyznaję, że przyszedłem cokolwiek późno – rzekł z naciskiem Złotopolski – ale mam nadzieję, że nie za późno.

Chwila milczenia.

– W każdym razie witamy pana, jako miłego gościa – rzekła pani Bujnicka.

– Który przyrzeka, że swoje opóźnienie będzie się starał wszelkimi siłami naprawić – rzekł shylając głowę Jaś.

– Czasem to bywa niepodobne – wtrąciła chłodno Fania.

Złotopolski uśmiechnął się.

– Pamiętam – rzekł – że dziada mego, kasztelana, nazywano w salonach za czasów Księstwa Warszawskiego: *”Monsieur le Malgrétout”*¹⁰³. Przypominam pani, że jestem jego wnukiem.

– Czyż i panu dają tę nazwę?

– Spodziewam się, że zasłużę na nią.

– Więc dopiero w przyszłości?

¹⁰¹ *à l'anglaise* – (czyt. a langles; franc.) na wzór angielski.

¹⁰² *Vous savez madame* – (czyt. wu sawe madam; franc.) Pani wie.

¹⁰³ *Monsieur le Malgrétout* – (czyt. mesię le Malgretú; franc.) „Pan mimo wszystko”.

– Tak pani! w mojej dewizie¹⁰⁴ przede wszystkim o przyszłość chodzi.
 – Przyszłość nie zależy od pana.
 – Śmiem sądzić inaczej.
 – Nie radzę panu szczerze. Skądże to zaufanie?
 Złotopolski zniżył cokolwiek głos.
 – Nie wiem, może wytrwałość pana Iwaszkiewicza nauczyła mnie wierzyć, że i najniepobniejsze rzeczy stać się mogą.
 Fania zarumieniła się mocno.
 – Umie sobie radzić ten pan Iwaszkiewicz – ciągnął dalej Złotopolski, – ale dziś takie czasy, że wszyscy muszą sobie sami radzić. Ja na przykład, nie tylko że zostałem przy tym, co stanowi istotnie Złotopole, ale i mimo woli wyszedłem na kapitalistę.
 – A to jakim sposobem? – spytała z żywym interesem pani Bujnicka.
 – W ten prosty sposób... A! otóż i pan Iwaszkiewicz. *Bonjour monsieur Iwaszkiewicz!*¹⁰⁵
 Rzeczywiście Iwaszkiewicz zbliżył się do pani Bujnickiej i powitawszy ją siadł przy Fani.
 Na widok Złotopolskiego brwi jego zsunęły się na chwilę, ale wkrótce twarz wypogodziła się na nowo. Owszem, tyle w niej było niezwykłego ożywienia i szczęścia, że to zwróciło uwagę Fani.
 – Musiało pana coś pomyślnego spotkać – spytała, patrząc mu w oczy.
 – Tak pani. Zdołałem urzeczywistnić dziś jeden z dawno upragnionych celów – i przychodzę właśnie podzielić się z panią radością.
 – Słucham! słucham!
 – Dziś oddaliłem ostatniego robotnika zagranicznego z mojej fabryki. Nie mamy już ani jednego cudzoziemca – wszyscy krajowcy.

 – Więc jakim sposobem pan zostałeś kapitalistą? – pytała równocześnie pani Bujnicka Złotopolskiego.
 – Sprzedałem część ziemi własnej zagranicznym kolonistom i spłaciwszy wszystkie długi zostałem przy wcale sporej gotówce.

 – Czy pan zyskuje na oddaleniu obcych? – spytała Fania Iwaszkiewicza.
 – Ja? – nie! z początku tracę. Więc któż na tym zyskuje?
 – Ogół.

 – Więc pan istotnie zyskał na kolonizacji? – pytała pani Bujnicka.
 – Ja zyskałem bardzo wiele.
 – Czyżby kto stracił?
 – Ogół – powtórzył przechylając się ku Fani Iwaszkiewicz, zanim Złotopolski zdołał powtórzyć, że jego zdaniem stracili koloniści.
 Nastąpiła chwila milczenia. Po białym spokojnym czole Fani przelatywały różne myśli ni-by chmurki, mieszające jego spokój. Oto rozbierała pobudki postępów dwóch młodzieńców i usiłowała je ocenić. Istotnie, jeżeli ogół zyskiwał przez to, co uczynił Iwaszkiewicz, to tracił przez postępek Złotopolskiego. Współzawodnicy stawali przed nią w dwóch odmiennych rolach. Ale nie od razu zrozumiała, dlaczego jedna z tych ról jest dodatnią, druga ujemną. Dobro ogólne. Pojęcie to legło przed jej myślą, jakby jakaś nieokreślona otchłań. Czuła jednak, że potrzeba ją sercem i rozumem napełnić od wierzchu do dna. A zadanie takie nie było łatwe do spełnienia, bo edukacja, jaką odebrała w latach dzieciennych, nie mogła tu być pomocą. Kto by

¹⁰⁴ dewiza – (z franc.) hasło, godło, prawidło, zasada.

¹⁰⁵ (franc.) Dzień dobry panie Iwaszkiewicz.

tam w wychowaniu panien zwracał na takie rzeczy uwagę? Przecież można być panną i dobrze wychowaną, i „dobrze ułożoną” nie wiedząc, co jest dobro ogółu. Ale Fania chciała teraz wiedzieć i kwoli tej chęci udała się do Iwaszkiewicza. I dobrze się udała. Iwaszkiewicz był to człowiek z sercem. Wichur postępu rzucał na ono serce niby na rolę różne ziarna, ale przyjmowały się tylko zdrowe. Gdy wichur wionął kosmopolityzmem, serce stawało wówczas na kotwicy przeszłości, która to kotwica – symbol nadziei – była zarazem i wiarą w przyszłość. Fania dobrze wybrała. Była teraz podwójnie wdzięczna Iwaszkiewiczowi, bo tłumacząc jej, co jest dobro ogółu, tłumaczył zarazem, w czym jest jego własna wyższość nad współzawodnikiem. Tak jest! Czymże był przy nim ów piękny i modny paniczek? Czyny ich były wprost odwrotne. Fania spojrzała na Złotopolskiego i uśmiech nieledwie pogardy okolił jej usteczka.

– Czy pan słyszał naszą rozmowę? – spytała go.

– Jaką rozmowę?

– Podczas gdy pan rozmawiał z mamą o Złotopolu, ja mówiłam z panem Iwaszkiewiczem.

– Nie słyszałem nic.

– A to szkoda! Odmiennymi szliście panowie drogami.

– Tym lepiej dla nas, bo gdyby drogi nasze zeszły się...

– Wówczas?

– Wówczas musiałby jeden drugiemu ustąpić – zabrzmiał poważny głos inżyniera.

– Na honor! tak by musiało być – odparł z dumą Złotopolski.

Dwaj młodzi ludzie spojrzeli sobie w oczy. We wzroku Iwaszkiewicza błysnął posepny płomień nieugiętej woli, ale i oczy Złotopolskiego błyszcząły jak stal polerowana, z prawdziwie stalowym chłodem i uporem.

VIII

Godzina była późna; lampy w salonie pani Bujnickiej paliły się mdłym światłem w zgęszczonym od wyziewów ludzkich powietrzu. Goście rozeszli się już wszyscy; ucichł gwar; samotność jakaś – i pustka wyglądały teraz z każdego kąta sali. Na twarzach pani Bujnickiej i Fani przebijała bladeść i znużenie, a przy tym znać było na nich i pewien niepokój. Obie panie zdawały sobie sprawę z ubiegłego wieczora i obie czuły jednocześnie, że w atmosferze domowej zawisło coś nowego, co jak burza zapowiadało się milczeniem. Obie też nie dzieliły się wrażeniami i zamiast słów słychać było tylko szelest ich jedwabnych sukien. Czasem spojżenia matki i córki zbiegały się i rozbiegały jeszcze prędzej. Na koniec Fania pierwsza przerwała milczenie.

– Dobranoc, mateczko! – rzekła.

Pani Bujnicka uścisnęła córkę z niezwykłą tkliwością i gorąco ucałowała jej białe czoło, potem odeszła parę kroków, potem zatrzymała się znowu przy drzwiach, zdawało się, że chce coś mówić – zawahała się, odeszła. Fania udała się do swego pokoju. Zapewne miała o czym myśleć. Oparłszy głowę na rękę nie odpowiadała ani słowem przywykłej gwarzyć panience służebnej, która układając pod czepeczek nocny złotawe jej warkocze starała się zawiązać z nią pogawędkę. I niewesołe były myśli Fani.

Ostatnia rozmowa Iwaszkiewicza ze Złotopolskim przejęła Fanny śmiertelnym niepokojem; przypomniawszy sobie dumne spojrzenia i niemal groźne słowa obydwóch. Przerzązał a zarazem i oburzał ją upór Złotopolskiego. Jak to? więc dla niego – w jego planach – jej wola, jej osobisty wybór nic nie znaczył? Widocznie traktował ją jak rzecz, nie jak wolną niewiastę, bo kiedy chłodnymi słowami starała mu się okazać niechęć, odpowiedział jej jednym wyrazem:

*malgrétout*¹⁰⁶ Dumny panicz liczył na nazwisko, na majątek i sądził, że nie masz kobiety, której by z wolą lub bez woli nie można kupić za taką cenę. Postępowanie jego było po prostu zuchwalstwem, ale widocznie dumny panicz nie obawiał się jego następstw; nie obawiał się ani Fanny, ani jej narzeczonego. Tkwiła w tym może odwaga, ale tkwił i wysoki egoizm. Zuchwalec! śmiał jej powiedzieć *malgrétout!*, a wszakże ten sam Iwaszkiewicz, który bez drgnienia powieki umiał patrzeć w oczy osławionego z pojedynków człowieka, tak dziecięco prawie był nieśmiałym względem niej. Ale szlachetna ta nieśmiałość szła z niezamarnowanej duszy, a dowodziła świeżości uczuć i prawdziwego szacunku, i prawdziwego uczucia. Między Iwaszkiewiczem i Złotopolskim Fanny nie mogła wahać się w wyborze. Zresztą, już była wybrała – i nie o to chodziło w tej chwili. Niepokój jej i trwoga powstawały stąd, że nie wiedziała, do czego między takimi dwoma ludźmi dojdzie i na czym się skończy.

A tymczasem panienka służebna skończyła ją rozbierać i odeszła. Fania zdmuchnęła świecę. W pokoiku dziewczycym zapanował mrok, tylko promień księżycy wkradał się białym pasemkiem za kotarę łóżka, tylko srebrna lampka, zawieszona przed posązką Madonny, świeciła w cieniu niby robaczek świętojański. Nastąpiła cichość – siostra nocy, kochanka nocy – jak mówią poeci.

Nagle w przyległym pokoju dały się słyszeć czyjeś kroki, drzwi się otworzyły i pani Bujnicka w białym negliżu¹⁰⁷ ogarniając dłonią płomyk świecy weszła do sypialni córki.

Fani serce zabiło niespokojnie, podniosła się na łóżku.

– Mama nie śpi jeszcze? – spytała.

– Nie, moje dziecko.

Pani Bujnicka siadła przy łóżku córki.

– Moje kochane, moje drogie dziecko! – przemówiła drżącym głosem.

W oczach Fani zakręciły się łzy; pochyliła się ku wyciągniętym dłoniom matki i ucałowawszy je serdecznie ukryła w nich twarz.

– Nie martw się, Faniu! ty płakałaś? Jeszcze nie stało się nic złego.

– O! stało się i wiele złego, mamó, i to ja sama temu winna. Postępowałam jak zepsute dziecko, a długo nie było w postępowaniu moim ani prawdy, ani szczerości.

– Nie uczyniłaś nic godnego nagany.

– Drzę na myśl, co teraz będzie.

– Wszystko się dobrze skończy. Nie obawiaj się.

– Mamo! mamó!

– Ludzie rozchodzą się nawet od ołtarza.

Fanny oderwała nagle twarz od dłoni matki.

– O czym mama mówi?

– Ludzie rozchodzą się nawet od ołtarza. Przyjęłaś go, ale zaręczyn jeszcze nie było. Wszystko można zerwać. Któż mógł się spodziewać, że Złotopolski tak dobrze stanie?

– Matko! – przerwała Fanny płonąć jak róża.

– Czego chcesz, dziecko?

– Stoimy na biegunach i nie rozumiemy się zupełnie. Lepiej od razu postawić rzecz jasno: czy mam zostać żoną Iwaszkiewicza, czy nie?

Pani Bujnicka nie była przygotowaną na tak nagły zwrot ze strony Fani. Ona rachowała na swoją dyplomację, a tu trzeba było wprost powiedzieć: tak lub nie. A przy tym pani Bujnicka nie cierpiała, gdy kto mówił wprost. Omówienia miały dla niej tyleż prawie wagi, ile treść sama; nawet gdy myślała nad czym, gdy była tylko ze sobą, wszystkie jej myśli przybierały

¹⁰⁶ *malgrétout* (popr. *malgré tout*) – (czyt. malgretú; franc.) mimo wszystko.

¹⁰⁷ *negliż* – (z franc.) domowe, swobodne ubranie ranne lub nocne.

zawsze wyszukaną dyplomatyczną formę. Dlatego też pytanie Fani przejęło ją zdziwieniem, ale i oburzyło zarazem.

– Zmiłuj się, Fanieczku, jak można tak nazywać rzeczy po imieniu? Już jeśli dobrze ułożona panienska chce spytać o taką rzecz, to daje do zrozumienia, ale tak... wstydź się, Faniu.

– Ja jednak wprost pytam, jaka jest mamy wola? Potem ja powiem, jak mi się zdaje.

– Nie poznaję ciebie.

– To być bardzo może. Ja sama nie poznaję siebie od niejakiego czasu, ale mi z tym lepiej. Iwaszkiewicz otworzył mi oczy na wiele rzeczy, dlatego okazuję mu to, co czuję prawdziwie.

– Moje dziecko, nie drażnij mnie...

– Ja nie chcę mamy drażnić, ale...

– Panienska dobrze ułożona...

– Powinna miłować prawdę, a potem być dobrą żoną i matką.

– I matką? *Mais c'est affreux!*¹⁰⁸ Kto cię takich rzeczy nauczył?

– Iwaszkiewicz! To takie proste rzeczy, a jednak nie wiedziałam o nich. A mam lat dwadzieścia dwa.

Teraz pani Bujnicka rozgniewała się na dobre.

– A czy ten mądry Iwaszkiewicz nie nauczył ciebie, że panienska dobrze wychowana, wprzód nim zostanie dobrą żoną i mat... (nie chcę tego wymówić...), powinna być dobrą córką?

Fania spuściła głowę. Teraz pani Bujnicka miała swoją rację.

– Przecież tu nie o mnie chodzi – ciągnęła pani Bujnicka. – Ja będę miała jutro migrenę, ale niech się dzieje wola boża! – gotowam cierpieć! Mnie chodzi o twoje szczęście! Ja będę miała migrenę i nie może być inaczej. Po tym, co tu słyszałam, nie pozostaje mi nic, jak tylko... przyłożyć wizykatorię¹⁰⁹ za uszami. Ale Faniu! Faniu! zastanów się. Iwaszkiewicz – to burżuazja! Będziesz należała do burżuazji. Nie przeżyłabym, gdyby cię zaliczano do burżuazji. Nie masz nic bardziej *mauvais genre*¹¹⁰ jak burżuazja. Och, burżuazja! burżuazja!

– Moja matko, jakże ja mogę wiarę łamać?

– Nie było zaręczyn; deklaracja nie obowiązuje.

– Och! obowiązuje deklaracja i... Nie mogę! nie mogę. mateczko! Ja... mammo!... ja nie tylko deklaracją związana jestem z Iwaszkiewiczem.

Pani Bujnicka zerwała się gwałtownie.

– Co ty mówisz, dziewczyno? – zawołała z przestrawieniem.

Fania podniosła się na łóżku. Oczy jej zaszyły łzami, a jednocześnie purpurowy rumieniec malował zwolna jej twarz. Tak zarumieniona, ze złożonymi rękami, ze łzami w oczach, okryta potokiem rozplecionych warkoczy sypiących się po gieźlęczku¹¹¹ nocnym, z bijącym jak u przelęknionego ptaka sercem, podobną była do posągu skruchy lub pokory.

– Mamo! – ozwała się błagalnie.

– Mów, nieszczęśliwa!

– Mamo, to było w karecie...

– Co było w karecie?

– Wracaliśmy od państwa L..., z tego wieczoru, na którym hrabia Władysław... na którym suczka... narobiła wrzasku...

– Co dalej? co dalej?

¹⁰⁸ (franc.) Ależ to okropne!

¹⁰⁹ wizykatoria – plaster przyrządzony z owadów, używany jako środek przeciwbólowy.

¹¹⁰ *mauvais genre* – (czyt. mowę żanr; franc.) w złym guście.

¹¹¹ gieźlęczko – zdrobnienie od gźło, obszerna szata lniana; tu w znaczeniu nocnego stroju kobiecego.

- Mama z panią Szemiot siedziała w tyle, a ja z nim na przodzie i... wtedy ja... tak! wtedy... ja... sama nie wiem, jak się to stało...
- Zabijasz mnie, gnębisz, dręczysz, pastwisz się nade mną.
- I ja... oparłam głowę na jego ramieniu – kończyła jednym tchem Fania.
- I co więcej? – spytała gorączkowo matka.
- I nic więcej.
- Nic?
- Nic więcej, ale i to, co było, było bardzo niedobrze. Ja sama się oskarżam, ale...
- To było do najwyższego stopnia *mauvais genre*.
- Nie uważa na *genre*, kto kocha.
- Przestań! Słyszałaś, żeby panienka dobrze wychowana postępowała w ten sposób?
- Nie, mamó! nie słyszałam. Sama się obawiam, ale też i tłumaczę się przed własnym sumieniem przywiązaniem, jakie czuję dla Iwaszkiewicza. Gdybym po tym, co zaszło, jeszcze złamała słowo – to byłoby szkaradnie!
- Przecie tego nikt nie widział?
- Bóg widział. Ja za nic w świecie nie złamię danego słowa Iwaszkiewiczowi.
- Słuchajże uparta dziewczyno: ja nie będę cię przymuszała, byś szła za Złotopolskiego, ale zapowiadam ci, że dopóki on nie ustąpi – za nic na świecie nie pozwolę na Iwaszkiewicza. Fania podniosła w górę załzawione oczy.
- On, jeśli ma jeszcze choć trochę honoru i uczciwości – to ustąpi.

IX

U Złotopolskiego gwarno bywało od czasu, jak rozkolonizował Złotopole. Wszyscy znajomi okazywali mu tyle sympatii jak nigdy. Raz wraz zdarzało się, że przychodził do niego ktoś ze znajomych i mówił:

- Jasiu, pozwolisz, że ci złożę jeden dowód przyjaźni i zaufania?
- Jaki?
- Pożycz mi tyle a tyle?
- *Tiens!*¹¹² to ma być dowód przyjaźni?
- Tak jest, bo dłaczegoż nie udaję się z tym do kogo innego? Rozumiesz, że pieniędzy nie pożyczają od ludzi, z którymi nie jest się w bliskich stosunkach... no, chyba na procent, a przecież między nami mowy być o tym nie może.

I Złotopolski dawał.

Miał on naturę szlachcica polskiego, ową naturę, która to wyraźnie występowała w księciu „Panie Kochanku”¹¹³, gdy np. chodził między szlachtą i dawał jednemu czapkę: „weź!” – drugiemu pas: „trzymaj!” – trzeciemu szablę: „masz!” i tak aż do szarawarów.

Złotopolski nie umiał także odmawiać. Zresztą, jak tu się oprzeć dowodom przyjaźni?

Prócz tego wydawał śniadania, na których można się było najeść i napić *honeste*¹¹⁴ – a no, nie brakło mu gości.

¹¹² *Tiens* – (czyt. tię; franc.) A to dopiero!

¹¹³ *książę Panie Kochanku* – książę Karol Radziwiłł, litewski magnat, żyjący w drugiej połowie XVIII w. Zaciekły przeciwnik stronnictwa Czartoryskich, postać ogromnie popularna wśród szlachty ze względu na swe zamiłowanie do niezwykłych zabaw, pijaństw i burd.

¹¹⁴ *honeste* – (łac.) okazale, gościnnie, suto.

W parę dni po wieczorze u pani Bujnickiej i po rozmowie jej z córką Złotopolski siedział u siebie w towarzystwie księcia Antosia i Maszki. Rozmawiali o narzeczonej księcia.

– Co ty z nią będziesz robił? Ha! ha! Z Berlińskich księżna M...ska, to dobrze brzmi! – rzekł Maszko.

– Co będę robił? Jeśli się ożenię, ona będzie siedziała na wsi, a ja w Paryżu.

– Albo papa, mama i dziadek Berlińscy ci pozwolą?

– Ja drwię z papy, mamy i z dziadka – Berlińskich.

– Musi być teraz w dobrym humorze twój przyszły teść? – spytał Złotopolski.

– O! i w jakim! Robią teraz wyprawę, kupują powozy i malują na nich herby.

– Swoje czy twoje?

– Juźci moje, a tak wielkie jak talerz, jak ten talerz – rzekł książę Antoś, ukazując na jeden z zastawy do śniadania.

– A twoja narzeczona?

– Kocha się we mnie.

– A ty?

– A ja piję za twoje zdrowie, Jasiu! – rzekł książę Antoś nalewając sobie szklanek wina. – Jak mi honor miły, wszystkie kobiety są jednakowe.

– Ee!

– Jak mi honor miły! Taka dobra Berlińska, jak i twoja Fania, a może nawet i lepsza, bo...

Ręka Złotopolskiego spoczęła na ramieniu księcia Antosia.

– W twoim własnym interesie nie radzę ci robić takich porównań. Ty sobie możesz brać Żydówkę, czy czarta... wszystko mi jedno, ale wara źle mówić o Bujnickiej.

Książę Antoś spojrział w oczy Jasia, ale nie znalazł w nich żartu. Złotopolski nie udawał, owszem, usta jego drżały nerwowo, a ręka tak silnie ścisnęła ramię Antosia, że ten ugiął się mimowolnie.

– Ależ, co tobie jest? Ależ, bo ty wszystko serio bierzesz. Ja nie miałem zamiaru...

W tej chwili dzwonek się odezwał – wszedł Miś Rossowski. Miś Rossowski zimny i sztywny jak zawsze powitał obecnych i nie rzekłszy do nikogo słowa rzucił się na fotel, a następnie wyciągnawszy nogi począł rozczesywać palcami faworyty i poprawiać na sobie ubranie, które wyglądało jakoś dziwnie pogniecione i pomięte.

Wkrótce jednak spostrzegł, że stało się coś niezwykłego. Jaś chodził wzburzony po pokoju, książę Antoś i Maszko mieli dość wystraszone miny, a przy tym milczeli wszyscy.

– Co tu u was zaszło? – spytał Miś.

Książę Antoś opowiedział, co zaszło.

– Niech Antoś poda rękę Złotopolskiemu i przeprosi go... Wybacz, Antosiu, ale co innego jest Fanny, a co innego twoja narzeczona.

Antoś i Jaś podali sobie ręce.

Tymczasem Miś, nałożywszy szkła na oczy, przypatrywał się uważnie Złotopolskiemu.

– A teraz, wiesz Jasiu, co ci powiem? – rzekł.

– A słucham.

– Ze jeśli nie jesteś jeszcze zakochany w Bujnickiej, to przynajmniej wkrótce będziesz.

Złotopolski milczał.

– Zgadłem, czy nie zgadłem? – cedził kołysząc się Miś.

– Powiem ci otwarcie. Ja sam nie rozumiem, co się ze mną dzieje. Od powrotu ze wsi nie pojmuję Bujnickiej zupełnie. Sądziłem, że będę miał przeciw sobie tylko Iwaszkiewicza, tymczasem mam i ją, najbardziej stanowczo. To mnie drażni: nie spodziewałem się oporu – to mi psuje humor.

- Już to ty nigdy nie będziesz prawdziwym Anglikiem. Nadto jesteś sangwiniczny¹¹⁵.
- Mniejsza o to. Wracam do rzeczy. Nie taję przed wami, że Bujnicka zaczyna mi się podobać. Może właśnie ten opór jej – drażni mnie i przyciąga zarazem. Przy tym, jak sobie chcecie, – ale w kobiecie rozkochanej jest jakiś czar niepojęty. Oto dlatego tak nam się podobają narzeczone i młode mężatki. A Fanny jest rozkochana w Iwaszkiewiczcu.
- Czy masz na to dowody?
- Jak najpewniejsze, bo z jej własnych ust.
- Z jej własnych ust?
- Tak. Sama mi to powiedziała, nie dawniej jak wczoraj u L...skich. Podczas gdy ten głupiec Zubicki czytał jakieś tam baliwerny¹¹⁶, zbliżyłem się ku niej i po kilku słowach dałem do zrozumienia, że nie myślę zrzekać się praw, których, prawdę rzec, nigdy nie miałem. Jakoż odpowiedziała mi, że ich nigdy nie miałem, a przy tym otwarcie wyznała, że matka już chciała zrywać z Iwaszkiewiczem, że jest za mną, – ale że ona, Fania, nigdy nie odda mi ręki, bo Iwaszkiewicza kocha. Gdy to mówiła, miała łzy w oczach i w głosie. I ja byłem wzburzony. Nie sądziłem, żeby była tak uczciwą, a nigdy nie widziałem jej równie piękną. Nie zląkłbym się stu Iwaszkiewiczów, ale nie mogę znieść łez kobiecych. Powróciłem do domu zły i z klinem w głowie, bo zapomniałem wam powiedzieć, że wczoraj powtórzyła mi już drugi raz słowa, które, niech zginę, jeśli rozumiem.
- Cóż to takiego?
- Że szliśmy z Iwaszkiewiczem (którego oby czart porwał!) dwiema odmiennymi drogami.
- No, więc?
- I że gdyby nawet nie kochała jego, to mając wybór między nami oddałaby mu rękę już za to, że szedł drogą wprost przeciwną mojej.
- Cóż to za zagadka?
- Równie ją rozumiem jak każdy z was.
- A wiesz, Jasiu, co ja ci powiem? – przerwał ksiązę Antoś.
- Mów.
- Że i ja tego nic a nic nie rozumiem.
- Nie odzywaj się, Antosiu, zanim się nie namyślisz – rzekł Rossowski.
- I na próżno łamię sobie głowę, co ona przez to rozumiała – ciągnął dalej Złotopolski. Miś rozczesał faworyty.
- Mój kochany – rzekł – nie ty jeden na próżno łamiesz sobie głowę. Ja także myślę nad jedną kwestią, z której żadną miarą nie mogę sobie zdać sprawy.
- Czy nie miłosna także kwestia? – spytał Maszko.
- Nie! spojrzycie na moje ubranie.
- A toż co? pogniecione, pomięte, guzików brak?
- Otóż ma ono związek z moją kwestią. Myślę, co za przyjemność może znajdować szlachta polska w takim ściskaniu się, od którego boki bołą i całowaniu, które sprowadza puchnięcie policzków.
- Godne Misia! godne Misia! – zawołał Maszko. – Czyś tego doświadczył?
- Spójrz na moje ubranie. Idę sobie tu do was, raptem spostrzegam na ulicy brata mojego stryjecznego, który jest wzorem gospodarzy i który raz na pięć lat bywa w Warszawie. *Imaginez-vous*¹¹⁷, rozszerza nogi, rozkłada ręce, otwiera paszczę i czeka na mnie w ten sposób. Wpadam w tę otchłań; czuję, jak zaczynają mi trzeszczeć zębra, jak gniecie mi się kołnierzyk,

¹¹⁵ *sangwinik* – (z łac.) człowiek o żywym, gwałtownym usposobieniu.

¹¹⁶ *baliwerny* – (z franc.) niedorzeczności, bzdury.

¹¹⁷ *Imaginez-vous* – (czyt. imażiné wu; franc.) Wyobraź sobie.

jak rozwiązuje krawat. Zjada mnie, otacza, pożera, wchłania; na policzkach literalnie czuję suche bańki, i to ma znaczyć: Jak się masz?

Księżę Antoś i Maszko zanosili się od śmiechu.

– Gniewałeś się?

– Gniewałem się, alem tego po sobie nie pokazał – rzekł z powagą Rossowski.

– Co ona przez to mogła rozumieć? – mówił do siebie Złotopolski, który zajęty swymi myślami nie słyszał opowiadania Misia.

– Co ona mogła rozumieć? Przecie u licha nie popełniłem nigdy nic nieuczciwego.

– No! już mniejsza, co ona tam rozumie – rzekł Maszko – ale co ty zamierzasz czynić?

– Ot właśnie, że i ja dobrze nie wiem. Im więcej mi się ona podoba, tym mniej mam ochoty zrzekać się jej, a z drugiej strony, iść wbrew sercu i woli takiej kobiety?...

– Matka ją zmusi – zauważył księżę Antoś.

– Ja nie chcę, by ją ktokolwiek zmuszał!

– A jednak powinienes się z nią żenić – rzekł Maszko. – Ludzie jak my nie powinni ustępować takim Iwaszkiewiczom.

– Dać lekcję i ustąpić – mruczał Jaś. – Tak, to jedyny punkt wyjścia!... jedyny punkt wyjścia!

– Co? jaki?

– Taki! – rzekł wskazując na pistolety zawieszane nad łóżkiem. Miś rozczesał faworyty.

– Służę ci za świadka – rzekł.

– Stchórzy Iwaszkiewicz! – krzyknął Maszko.

Złotopolski spojrział na niego uważnie. Maszko się zmieszał.

– Daruj mi, Maszko, ale sędzę, że ty byś prędzej stchórzył – Iwaszkiewicz nie stchórzy.

– Służę ci za świadka – powtórzył Miś.

– Dobrze, ale pierwej muszę sam się z Iwaszkiewiczem rozmówić. Skończy się na tym, że ustąpię. Z Fanią, a zwłaszcza z jej łzami nie potrafię wojować.

– To do czegoż pojedynek?

– Powiedziano by, że ja, Jan Złotopolski, zląkłem się Iwaszkiewicza. Nie, pojedynek musi mieć miejsce. Ustąpię, ale dam lekcję. Nie myślę go zabijać – ale, albo on mnie, albo ja jemu dam lekcję.

– Z jakiej przyczyny chcesz iść do niego?

– Dla rozwiązania zagadki i znalezienia powodu do pojedyunku.

– Mogłeś Fanny o to spytać.

– Nie chciała mi powiedzieć, by, jak sama mówiła, nie drażnić mnie. Ona trochę przewiduje pojedynek i boi się go dla... Iwaszkiewicza.

– Kiedy do niego pójdziesz?

– Dziś. Gdzie on mieszka?

– Nie wiem, ale zastaniesz go do wieczora w fabryce.

– Pójdę do fabryki.

X

Jakoż o piątej wieczorem udał się Jaś do fabryki, ale nie zastał w niej Iwaszkiewicza. Natomiast młody jakiś inżynierek o rudych włosach, czarnych oczach i kobiecej prawdziwie twarzy, z wielką grzecznością wskazał mu pokój dyrektora. Jaś postanowił oczekiwać na Iwaszkiewicza, który miał nadejść za godzinkę, a tymczasem z nudów rozpatrywał się po dyrektorskiej izbie lub wyglądał oknem na dziedziniec fabryczny. I jedno, i drugie zajmowało go nie

pomału. Pokój, w którym siedział, na pierwszy rzut oka zdradzał pracownię inżyniera. Ogromne brystole z pozaczynanymi rysunkami, wzory rozmaitych machin, których by Jaś nawet nazwać nie umiał, mapy, termometry, narzędzia fizyczne, tabele i księgi rachunkowe napelniały wszystkie kąty tej izby. Przy wchodowej ścianie była szafa napelniona książkami, na której stał ogromny globus i miniaturowa lubo bardzo dokładna lokomotywa. Po innych wisiały portrety znakomitych inżynierów zagranicznych; na wielkich półkach umieszczonych tuż obok biura widać było próbki rozlicznych rud żelaznych. Z tym wszystkim komnata była dość posępna; czarne drewniane krzesła, czarny stół i szafy stanowiły całe jej umeblowanie. Ale też znać było, że nie przesiadywał w niej wykwinłoś, tylko surowy mąż pracy. Praca twarda i wytrwała widniała tu z każdego szczegółu. Izba malowała mieszkańca. Złotopolski rozglądał się po niej z mimowolnym szacunkiem, połączonym ze zdziwieniem. On, który jako prawdziwy *gentleman*, nie robił całe życie nic a nic, on, trefny¹¹⁸ wykwinłoś, którego zajęcia dzienne zależały od tego, jakie ubranie brał rano, może pierwszy raz w życiu spotykał się tu z pracą twarz w twarz. Mimo woli porównał się teraz z Iwaszkiewiczem – i mimo woli uczył, jak wiele niższym był od niego. Serce ścisnęło mu się smutkiem; zrozumiał, że Fanny miała słuszność.

Głuche poczucie tego odbiło się i na jego twarzy, ale posępną zadumę przerwał mu młody rudawy inżynier, który zbliżywszy się rzekł uprzejmie:

– Dyrektor przyjdzie o szóstej, mamy więc jeszcze pół godziny czasu; może tymczasem zechce pan obejrzeć fabrykę?

– Najchętniej. Dokąd pójdziemy?

– Pokażę panu maszyny, warsztaty, kuźnię, ślusarnię, odlewnię i co sam pan zechce.

Wyszli z izb inżynierskich. Młody i żywy jak iskra towarzysz Jasia nie żałował objaśnień. Wszedłszy do ogromnego, hałaśliwego budynku, posłuchał trochę i rzekł:

– Tak, panie! idzie u nas robota, idzie!

– Ależ tu można ogłuchnąć – zauważył Jaś.

– Fraszka! trochę przyzwyczajenia!

A rzeczywiście trzeba było i sporo przyzwyczajenia. Fabryka była w pełnym biegu. Ogromne koła zębate i niezębate poruszały się z piekielnym rozmachem i piekielną szybkością; olbrzymie tłoki podnosiły się i spadały ruchem, mającym coś potwornego, warczenie kół, łoskot, zgrzyt, przeraźliwy świst i bolesne wycie piłowanego żelaza, huk młotów, ścisnęły duszę jakimś nieokreślonym a lęklwym poczuciem owej niepojętej siły, która nadawała ruch wszystkiemu. Każda cegielka budynku trzęsła się jak w febrze; słowa ginęły dla ucha; samo powietrze zdawało się drzeć przelekle.

– A co panie? – krzyknął inżynier do ucha Złotopolskiemu.

– Potęga! potęga!

– A tak ciągle jest od czasu, jak mamy dyrektorem Iwaszkiewiczem.

– Czy tak?

– To panie jego ręka porusza wszystko.

– Ano zdolny musi być człowiek?

– Ho! ho! przy tym praca! praca! Dawniej tu inaczej bywało. Fabryka poczynała już bankrutować. Chodź pan dalej.

To mówiąc młody inżynier przeskoczył z belki na belkę;

Złotopolski podążał za nim.

– Ostrożnie, bo pana pasy złapią! Tędy!

¹¹⁸ *trefny* – (starop.) elegancki, wytworny, a także zabawny, dowcipny.

Tymczasem pociemniało na dworze, w budynku zabłyśły kinkiety¹¹⁹, a przy ich blasku, przy łamaniu się światła z cieniem, sala przybrała fantastyczne pozory jakiegoś przedsionka piekieł.

– Koło zębate o podwójnym działaniu wynalazku dyrektora – zakrzyczał głosem cycerona¹²⁰ inżynier.

Złotopolski spojrział na ukazywany mu okrągławy potwór, kręcący się ze wściekłością w ciemnym kącie.

– Klapy bezpieczeństwa systemu amerykańskiego, zastosowane pierwszy raz w kraju przez dyrektora!

Jaś zagryzł wargi. Czymże on był przy owym Iwaszkiewiczu?

– Dmuchawki zabezpieczające robotników od opiłków, zastosowane przez dyrektora!

– Mało musicie mieć robotników, kiedy ich tak zabezpieczacie?

– Mamy dość, ale robotnik, to człowiek jak my i bliźni nam. W innych fabrykach, gdy robotnik umiera, dzieci pozostają bez chleba, u nas inaczej.

– Jakże to u was?

– Dyrektor los wdów i sierot zabezpieczył ze składek ogólnych.

Jasiowi smutek ścisnął serce: czymże on był przy owym Iwaszkiewiczu?

Ale zarazem obudziło się w nim dziwne uczucie szacunku dla współzawodnika. Uczucie to sformułował Jaś w ten sposób:

– Chciałbym posiadać przyjaźń takiego człowieka.

– Przejdźmy do szlifierni, jeżeli pan chcesz? – pytał inżynier.

– Nie, panie! wyjdźmy już, bo ochrypnę i ogłuchnę zarazem.

– Piękny jest widok w kuźni.

– Nie, mam już dosyć,

Wyszli na dziedziniec fabryczny; na dworze już mrok padał, ale było jeszcze widno.

– Oto właśnie – rzekł inżynier – przechodzimy koło kuźni; rozdymają teraz ogniska; – za chwilę znów zadzwonią młoty.

– Wasz dyrektor musi być czł...

Złotopolski urwał nagle.

W powietrzu zabrzmiała pieśń, przy której wstrząsły się szyby budynku; zagłuchły wszystkie inne odgłosy, – pieśń prawdziwie żelazna; rzekłbyś, nie ludzkie dźwięczały nią płuca – pieśń na nutę stu młotów, bijących w takt jej słowom.

– Co to jest? – spytał Złotopolski. Oczy młodego inżyniera zabłyśły; rumieniec niekłamanego zapału wystąpił mu na lica.

– To kowale nasi śpiewają przy młotach. Posłuchaj pan. Przystanąli obaj: słowa pieśni dochodziły wyraźnie;

Gdy warczy miech, gdy płonie żar,

Wśród razów ech, wśród iskier chmar,

Próżnować grzech, czas – boży dar.

Hej, w obroty ciężkie młoty!

Chrzęst cęg, miotów jęk,

Czerwone skry i krwawy pot

Milsze niż słów pieszczonych dźwięk,

¹¹⁹ *kinkiety* – (z franc.) lampy na ścianach o specjalnym urządzeniu, zwiększającym siłę światła.

¹²⁰ *cyceron* – (po włosku – *cicerone*) przewodnik oprowadzający przybysza po nieznanym mu miejscach.

Niż krwawe łzy w komnacie złotej,
Bo w pracy – źródło szczęścia i cnót.
Ku niebu skroń – ku ziemi dłoń!
Tam Boga chwal – tu hartuj stal!
Tam dojsz się ucz – tu kuj i tłucz!
Aby twa praca wydała plon,
Byś miał gotowy, gdy przyjdzie skon,
Żelazny do nieba klucz.

Każde słowo potężnej pieśni brzmiało w powietrzu z taką siłą, że Złotopolski z młodym inżynierem nie stracili ani jednego dźwięku.

– A co, panie?

Złotopolski milczał.

– W innej fabryce nie usłyszysz pan takiej pieśni.

– Dlaczego?

– Czyś pan nie słyszał po jakimś śpiewają? W innych fabrykach pracują cudzoziemcy.

Złotopolski zmarszczył brwi i szybko zbliżył się do inżyniera.

– Jak pan to rozumiesz?

– Dyrektor oddalił cudzoziemców, a postarał się o naszych ludzi – odparł inżynier.

Obie ręce Złotopolskiego spoczęły na ramionach towarzysza.

– Dlaczego on to uczynił? dlaczego to uczynił? – pytał gorączkowo.

– Dla dobra ogółu. Ale co panu jest?

– Nic! nic!

Złotopolski zamilkł nagle i sposepniał jak noc. Zagadka, której nie chciała mu rozwiązać Fanny, leżała teraz jasno przed jego oczyma.

Ale jasność owa daleką była od radości: czymże on był przy Iwaszkiewiczu?

Nagle w bramie fabrycznej odezwał się dzwonek.

– Dyrektor! – zawołał rudy inżynier. – Teraz ustępuję panom.

Jakoż po chwili w ciemnym mroku bramy fabrycznej zarysowała się wysoka, spokojna postać Iwaszkiewicza.

Złotopolski szybko zbliżył się ku niemu.

– Panie! – rzekł smutnym, poważnym głosem – nie znałem pana, ale przed chwilą poznałem i... teraz rozumiem Fanny... i ustępuję!...

Zanim Iwaszkiewicz zdołał ochłonać ze zdziwienia, Złotopolskiego już nie było.

Koniec, czytelniku! W parę dni potem Złotopolski odjechał za granicę i osiadł w Dreźnie. Iwaszkiewicz ożenił się z Fanią, ale mimo namów pani Bujnickiej nie chciał porzucić fabryki, którą i nadal w podobnym duchu zarządzał.

W Złotopolu za to na szwedzkich okopach kwitnęły ogórki, a jeno kości sodalisów póty nie znalazły spoczynku, póki chłopstwo nie ulitowało się nad nimi i „owych świętych szczątków żołnierskich” nie pochowało w poświęconych grobach.

KONIEC

